# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 58. WARSZAWA, 13 GRUDNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.


## PO PIĘCIU LATACH

DNIA 4 GRUDNIA w Poznaniu, przed laty pięciu, powstał Obóz Wielkiej Polski. Miał on według zamiaru inicjatorów stać się nowym typem zrzeszenia politycznego w polskiem życiu publicznem: organizacją, która, oparta na zasadzie hierarchji i dyscypliny, zdolna do wystąpień aktywnych i energicznych, umiałaby wytworzyć moralny i polityczny trzon Polsce wobec otwartego w maju owego roku, niebezpiecznego i ryzykownego okresu rządów dyktaturalnych.

Po latach pięciu warto — korzystając z okazji rocznicy — określić sytuację obecną z punktu widzenia tych ówczesnych założeń. I należy stwierdzić z całym naciskiem, że dzisiejsze położenie państwa, zarówno zagraniczne jak wewnętrzne, nie odbiera bynajmniej aktualności zadaniom wówczas sformułowanym, ale nawet, przeciwnie, stawia rolę Obozu Wielkiej Polski w świetle szczególnie wyraźnem, jako rolę doniosłą. W stosunkach międzynarodowych jest państwo nasze przedmiotem szczególnie zuchwałych roszczeń naszych nieprzyjaciół, pod przewodem niemieckim prowadzących zorganizowany atak na nasze granice. Nasza polityka zewnętrzna dzisiejsza wydaje się wobec tych dążeń szczególnie bezradną i zdającą państwo na łaskę gry sił, albo jednostronnej dobrej woli naszych sprzymierzeńców. W dziedzinie gospodarczej społeczeństwo ugina się pod ciężarem wyśrubowanych nadmiernie wydatków państwa, dusi się w pętach nadmiernych budżetów — dwukrotnie mniejwięcej większych, niż budżet, który dyktatura zastała. A jeśli chodzi o sprawę stałości i pewności wewnętrznych stosunków w Polsce, wiadomo, iż nie zdołano dotąd uzgodnić stanu faktycznego z prawnym. Pozorna siła rządu, wyrażająca się w rozbiciu społeczeństwa, nie jest równocześnie siłą wewnętrzną państwa. Uczucia ogółu w stosunku do władzy, to nie może być jedynie strach, niezwiązany z zaufaniem i szacunkiem.

W takim stanie rzeczy, wśród tej atmosfery, grożącej państwu chaosem i zachwianiem równowagi, rola Obozu Wielkiej Polski — organizacji typu nowego, staje się szczególnie aktualną.

Formułując jej zadania ściśle polityczne w przyszłości, stawiamy jako cel wytworzenie takiej podstawy, na której mógłby się oprzeć rząd narodowy. Nie chodzi o ministrów z imienia, którzyby byli krępowani w swojej działalności — chodzi o rząd, uposażony w pełną władzę, oparty o organizację, zapewniającą mu swobodę działania, możność realizacji właściwych celów polityki polskiej. Stworzenie takiej podstawy jest zadaniem Obozu.

Obserwując polskie życie współczesne, stwierdzić łatwo rzucający się w oczy fakt, że ludzie, reprezentujący uczciwość, patrjotyzm i rozum, to naogół typ zwyciężony, pognębiony, zastraszony i zniedołężniały. Trjumfuje bezmyślna i łobuzerska energja, aktywność, nie będąca w służbie polskiego rozsądku. Jesteśmy bliscy idealnego ustroju Polski — z punktu widzenia naszych wrogów: polski zawadjaka, pełen żywotności i energji, któremu wskazówki postępowania szepce do ucha obcy, międzynarodowy, albo swojski żydek.

Szczęśliwie młode pokolenie polskie, ruch narodowy, oparty mocno o rdzenne, zachodnie ziemie i będący wyrazem niesłychanie szybkiego ostatnio rozwoju kulturalnego narodu — przedstawia typ moralny nowy, o bardziej harmonijnym i zachodnim układzie pierwiastków wewnętrznych. Jest ono zdolne wydać zwycięską wojnę trjumfującemu łobuzerstwu i bezmyślności, uaktywnić, dać energję cywilizowanym, a uczciwym żywiołom w kraju.

Znak Obozu Wielkiej Polski—to miecz Chrobrego, symbol chwały oręża polskiego, symbol siły polskiego ramienia — symbol czynu polskiego. Zadaniem Obozu jest dokonać tego, aby ów pierwiastek życia polskiego w sprawach codziennych przeszedł w ręce uczciwego człowieka — w życiu publicznem stał się ramieniem istotnie polskiej, narodowej polityki.

ZDZISŁAW STAHL

# FRANCJA — POLSKA — ROSJA

Zaczyna się znowu głośniej mówić o rokowaniach, dotyczących t. zw. układu o wzajemnem niezaczepianiu się między Francją i Sowietami oraz Polską i Sowietami.

Wiadomości o nich wypłynęły na powierzchnię i wywołały znaczny rozgwar w sierpniu r. b. Od tego czasu odzywają się bez przerwy odgłosy. W ostatnich tygodniach zarówno rozprawy w komisji spraw zagranicznych Sejmu Rzplitej i oświadczenie p. ministra Zaleskiego z 30-go października r. b. o gotowości zawarcia układu, jakoteż oświadczenia przewodniczącego rady komisarzy ludowych p. Mołotowa z 6-go listopada b. r. w tym samym duchu, ożywiły tętno tej sprawy. Wreszcie urzędowe doniesienie w Moskwie z dnia 21 listopada b. r. stwierdza, że p. Liwinow, po pierwszym kroku w tym duchu 14 października br., oświadczył p. Patkowi gotowość wznowienia rokowań w sprawie paktu o nieagresji.

Dotychczasowe doniesienia i oświadczenia w sprawie zamysłów lub rokowań, dotyczących t. zw. układu o wzajemnem niezaczepianiu się między Francją i Sowietami oraz Polską i Sowietami, chociaż w znacznej części półurzędowe lub najbardziej urzędowe, są tak powikłane i wręcz sprzeczne, że wszelkie rozważania tego doniosłego zjawiska na europejskim widnokręgu politycznym trzeba zacząć od samego przedewszystkiem zestawienia wiadomości w ich kolejnem pojawianiu się.

---

1. — Już w początku lipca r. b. ukazywały się w dziennikach zagranicznych, w związku z dobiegającą do końca pierwszą częścią rokowań handlowych francusko-sowieckich, pogłoski, twierdzące, że w tych rokowaniach jest coś więcej jeszcze, a streszczające się w nagłówkach:

— Układ o niezaczepianiu się między Francją i Polską a Sowietami.

Pogłoski te tonęły w górującym nad wszystkiem rozgwarze późniejszych kłopotów i zabiegów Niemiec, aż do chwili, gdy rokowania i podróże z tem związane skończyły się koło połowy sierpnia r. b.

2. — Dnia 14-go sierpnia r. b. ukazały się w zawsze bliskiej niemieckiego urzędu spraw zagranicznych „Koelnische Zeitung" bardzo zwracające na się uwagę rozważania z taką wytyczną:

— Układ pięciu wielkich mocarstw europejskich, Anglji, Francji, Włoch, Niemiec i Rosji, o wspólne porozumiewanie się we wszystkich sprawach.

Dnia 19-go sierpnia r. b., w uwagach swego sprawozdawcy berlińskiego, powróciło pismo kolońskie do tych rozważań, nie tając, że jest tylko odgłosem myśli, krążących w kołach kierowniczych.

We Francji wszystkie pisma bardzo zgodnie, oczywiście nie bez związku ze zwykłą stycznością pism z Quai d'Orsay, odrzuciły ten pomysł, widząc w nim chęć oderwania Francji od innych państw europejskich i postawienia jej w kręgu raczej nieżyczliwych współuczestników, a wobec tego, że równocześnie zaczęły się znowu i dokładniej pojawiać wiadomości o rokowaniach Francji z Sowietami, nie tajono, że pomysł niemiecki był poprostu próbą dyplomacji berlińskiej, która o tem wiedziała, zaburzenia tych rokowań.

3. — Dnia 19-go sierpnia r. b. doniósł „New York Herald", mający także wydanie paryskie:

— Układ między Francją i Sowietami o wzajemnem niezaczepianiu się (*pacte de non-agression*) jest już ułożony przez prowadzących rokowania.

Dnia 20-go sierpnia r. b. dodała do tego również zadomowiona na gruncie paryskim „Chicago Tribune", że uzupełnieniem układu między Francją a Sowietami ma być układ między Polską i Sowietami, o który rokowania toczą się od dłuższego czasu.

4. — Dnia 20-go siepnia r. b. ukazało się w pismach paryskich, w odpowiedzi na wiadomość „N. Y. Herald'a" (p. 3), następujące doniesienie z kół urzędowych:

— Jedna z ajencyj cudzoziemskich doniosła, że Francja i Sowiety właśnie zawarły układ o niezaczepianiu się. Doniesienie to nie odpowiada rzeczywistości. Trzeba przypomnieć, w tym przedmiocie, że, równolegle z rokowaniami handlowemi, toczącemi się obecnie w Paryżu, między Francją i Rosją, odbyły się wymiany poglądów w sprawie ułożenia układu o niezaczepianiu się i odbywają się jeszcze między p. Philippe Berthelot'em (kierownikiem polityczno - dyplomatycznym min. spr. zagr.) a p. Dowgalewskim, ambasadorem Sowietów. Rządowi francuskiemu przypadnie zresztą wypowiedzenie się w sprawie wyników tych rokowań politycznych, które to wyniki, w najlepszym razie, nie przybiorą kształtów uchwytnych przed upływem wielu miesięcy.

Było to pierwsze potwierdzenie rokowań francusko-sowieckich z urzędowych kół francuskich.

5. — Dnia 23-go sierpnia r. b. krok polski w Moskwie, o którym jednak P. A. T-iczna doniosła dopiero 24-go wieczorem do pism z 25-go sierpnia r. b., jak następuje:

— W konsekwencji toczącej się od 1926 r. wymiany poglądów między rządem polskim a rządem Z. S. R. R. w sprawie paktu o nieagresji, poseł Rzplitej w Moskwie, p. minister Patek, złożył dnia 23-go b. m. w komisarjacie dla spraw zagranicznych projekt rządu polskiego paktu o nieagresji. Projekt ten dostosowany został do warunków, wytworzonych przez wejście w życie w r. 1929 paktu Kellogg'a.

W ten sposób i z polskiej strony urzędownie stwierdzono istnienie rokowań.

6. — A tymczasem, niejako w odpowiedzi na doniesienie „Chic. Trib." z 20-go sierpnia r. b. o rokowaniach Sowietów nietylko z Francją, lecz i z Polską (p. 3), oraz na odgłosy tego doniesienia we wszystkich krajach, a w szczególności w Niemczech, ogłosiła urzędowa T. A. S. S. w Moskwie dnia 24-go sierpnia rano:

— Wobec wiadomości, ogłoszonej przez niektóre dzienniki zagraniczne, jakoby rokowaniom francusko-sowieckim w Paryżu w sprawie paktu o nieagresji towarzyszyły rokowania w sprawie układu o neutralności między Z. S. R. R. a Polską, ajencja T. A. S. S. jest upoważniona do oświadczenia, że rokowania paryskie między Z. S. R. R. a Francją nie dotyczą wcale stosunków tych rokujących stron z trzeciemi państwami, a wśród nich z Polską, oraz że żadne rokowania nie toczą się między Moskwą i Warszawą w sprawie paktu o nieagresji.

Ukazało się to nazajutrz po kroku polskim w Moskwie.

7. — Dnia 26-go sierpnia r. b. ogłosiły pisma francuskie następujące doniesienie Ajencji Havas'a, z wyraźnem zaznaczeniem, że pochodzi ono ze źródła urzędowego:

— Niektóre pisma zamieściły niedawno wiadomość, jakoby żadne rokowania nie zostały nawiązane między Polską i Z. S. R. R. w sprawie zawarcia w danym razie paktu o nieagresji. Jesteśmy w możności stwierdzić, że wiadomość ta jest nieścisła, gdyż już w październiku 1930 r. otrzymała Polska, jak o tem zawiadomiony został rząd francuski, wniosek sowiecki, zmierzający do zawarcia paktu o nieagresji. W ciągu grudnia 1930 r. rząd polski oświadczył, że skłonny jest, w zasadzie, przychylnie zbadać myśl rządu w Moskwie, a dnia 12-go lutego 1931 r. p. Zaleski złożył w senackiej komisji spraw zagranicznych oświadczenie w tym duchu. A zatem, dopiero mając pewność, że rokowania w tej sprawie były od miesięcy nawiązane między Warszawą i Moskwą, rząd francuski, uwzględniając swe zobowiązania międzynarodowe i obowiązki, wynikające z uczestnictwa w Lidze Narodów, zgodził się z kolei, w kwietniu r. b., w związku z rokowaniami, zmierzającemi do przywrócenia równowagi gospodarczej, na wzięcie pod uwagę takiegoż wniosku, z którym już wielokrotnie zwracał się doń rząd sowiecki. Ostatnie wiadomości, otrzymane z Warszawy, wskazują, że rozmowy między Polską a Z. S. R. R. w sprawie zawarcia paktu, chwilowo powstrzymane, będą wkrótce wznowione w Moskwie.

W pismach polskich ukazało się to oświadczenie urzędowe francuskie za pośrednictwem P. A. T-icznej, w przekładzie z kilkoma odchyleniami (m. in. podano nawet dokładnie datę 22-go października 1930, jako dzień zwrócenia się Sowietów), dnia 28-go sierpnia r. b.

Urzędowe to objaśnienie francuskie było odpowiedzią z jednej strony na doniesienie moskiewskie T. A. S. S. z 24-go sierpnia r. b., że niema rokowań polsko-sowieckich (p. 6), a z drugiej strony na ostre zarzuty części pism francuskich, iż Francja rokuje w tej sprawie z Sowietami bez Polski.

8. — Równocześnie, dnia 26-go sierpnia r. b., ukazały się za pośrednictwem Ajencji „Iskra" oświadczenia p. posła Patka, który 24-go wieczorem, nazajutrz po kroku w Moskwie, był już w Warszawie:

— Zastałem w Warszawie duże zainteresowanie się faktem doręczenia przezemnie rządowi Z. S. R. R. naszego projektu, dotyczącego paktu o nieagresji. W istocie nie przedstawia on, sam w sobie, faktu nowego. Pertraktacje, dotyczące paktu o nieagresji, zostały rozpoczęte pomiędzy Polską a Z. S. R. R. jeszcze w roku 1926. Przejąłem je w r. 1927 i z biegiem czasu złożyłem stronie sowieckiej spis punktów, co do których nie nastąpiło między stronami uzgodnienie. Punkty te nie zostały jeszcze dotychczas uregulowane. Pozatem takie fakty, jak pakt Kellogg'a, jak podpisany 9-go lutego 1929 r. w Moskwie protokół Litwinowa i jak chwilowe napięcia sytuacji, odsuwały na pewien czas tę sprawę, muszę jednak podkreślić, że nigdy nie została ona poniechana. Obecnie wniosłem nasz projekt, ażeby wznowić bieg dawno rozpoczętej dyskusji.

Równoczesne objaśnienia w Paryżu (p. 7) i w Warszawie (p. 8) dnia 26-go sierpnia r. b. nie były wprawdzie równobrzmiące, bo paryskie mówi o wniosku sowieckim z (22-go) października 1930 r. jako o podstawie, a warszawskie wogóle o tym wniosku nie spomina, kładąc nacisk na nowy wniosek polski z 23-go sierpnia 1931 r., ale może się uzupełniały.

9. — Tegoż samego dnia 26-go sierpnia r. b. z Moskwy podała urzędowa ajencja T. A. S. S. tamtejsze objaśnienie kroku p. posła Patka, ogłoszone w pismach dnia 27-go sierpnia r. b.:

— Ajencja T. A. S. S. jest upoważniona do zawiadomienia, że dnia 23-go sierpnia poseł polski p. Patek złożył w komisarjacie spraw zagranicznych dokument, który przytacza sowiecki projekt paktu o nieagresji, przedstawiony w r. 1926 rządowi polskiemu przez p. Wojkowa, posła sowieckiego, dziś nieżyjącego. Dokument ten zawiera również przedstawienie warunków, od których rząd polski uzależniał, w latach 1926 i 1927, podpisanie paktu o nieagresji ze Z. S. R. R., a które rząd sowiecki uznał za niemożliwe do przyjęcia i bez żadnego związku z paktem. Jak wiadomo, z tego powodu, rokowania zostały w r. 1927 przerwane i odtąd nie były wznowione. Wobec tego, że rząd polski nie zrzekał się warunków, które przedstawił, a rząd sowiecki ich nie przyjmował, nie było powodu i możności wznawiania rokowań. Nowy dokument, złożony obecnie przez p. Patka, powtarza, jak już zaznaczono, te same warunki, dodając do nich jeszcze inny warunek, który dotychczas nie istniał w rokowaniach. Wskutek tego dokument ten nie przedstawia żadnego postępu w rokowaniach polsko-sowieckich, oznaczając raczej krok wstecz. Pozatem p. Patek, składając ten dokument, nie przedstawił życzenia, by rokowania wznowiono i sam określił go jako streszczenie wyników rokowań z lat 1926 - 1927. P. Patek złożył ten dokument w dniu swego wyjazdu z Moskwy na dłuższe wywczasy.

W taki sposób szczegółowy, a odmienny, niż w krótkiem doniesieniu P. A. T-icznej z 24-go sierpnia r. b. (p. 5) i w oświadczeniach p. Patka z 26-go sierpnia r. b. (p. 8), oświetliło urzędowe doniesienie sowieckie krok polski z 23-go sierpnia r. b., odmawiając mu znaczenia rokowań wogóle.

10. — Oprócz tego, dnia 27-go sierpnia r. b., rozesłała urzędowa ajencja w Moskwie następujące doniesienie, które ukazało się w pismach europejskich dnia 28-go sierpnia r. b.:

— Ajencja T. A. S. S. jest upoważniona do oświadczenia, że wiadomość, jakoby rząd polski otrzymał w październiku 1930 r. nowy wniosek ze strony rządu sowieckiego w sprawie zawarcia paktu o nieagresji, nie odpowiada rzeczywistości. Podobne doniesienia, które ukazały się w końcu r. ub. w pismach zagranicznych, spotkały się wówczas z zaprzeczeniem. Więc rząd sowiecki, nie przedstawiwszy żadnego nowego wniosku w sprawie rokowań, nie mógł też otrzymać od rządu polskiego obietnicy życzliwego zbadania tego nieistniejącego wniosku. — Rokowania polsko-sowieckie, odnoszące się do paktu o nieagresji, toczyły się wyłącznie w ciągu lat 1926 - 1927, mając za podstawę projekt paktu, pochodzący od rządu sowieckiego, który rządowi polskiemu został wręczony 24-go sierpnia 1926 r. Rokowań tych od tego czasu nie wznowiono. Istotną ich część przedstawiono szczegółowo w doniesieniu ajencji T. A. S. S., ogłoszonem przez pisma sowieckie dnia 27-go sierpnia 1931 r. — Co się tyczy rokowań o pakt nieagresji między Z. S. R. R. a Francją, ajencja T. A. S. S. już ustaliła w swoim czasie, że rokowania te nawiązane zostały niezależnie od sprawy stosunków polsko-sowieckich, w kwietniu r. b., w Paryżu, z inicjatywy rządu francuskiego.

Była to zatem odpowiedź na urzędowe doniesienie francuskie z 26-go sierpnia r. b. (p. 7),

przecząca istnieniu nowego wniosku sowieckiego z października 1930 r., oraz istnieniu rokowań polsko-sowieckich od tej chwili.

Ajencja Havas'a dodała do tego doniesienia sowieckiego tylko takie oświadczenie:

— We właściwych kołach francuskich oświadczają, że trzykrotnie w ciągu ostatnich lat rząd sowiecki zwracał się do rządu francuskiego o rokowania w sprawie paktu o nieagresji.

Nie podtrzymując zatem twierdzeń z przed dwu dni o wznowionych od października 1930 r. rokowaniach polsko-sowieckich, urzędowe koła francuskie prostowały jedynie ostatnie cztery wyrazy doniesienia T. A. S. S., dotyczące sprawy francuskiej czy sowieckiej inicjatywy rokowań francusko-sowieckich o pakt nieagresji.

11. — Dnia 28-go sierpnia r. b. był w Berlinie, w przejeździe do Genewy, komisarz spr. zagr. p. Litwinow. Od chwili doniesienia o rokowaniach nietylko francusko-sowieckich, ale także polsko-sowieckich o pakt nieagresji, t. j. od 19-go sierpnia (p. 3), a szczególnie od 25-go sierpnia r. b. (p. 5), w pismach niemieckich zawrzało nieukrywanem zaniepokojeniem i wręcz stanowczem powstawaniem przeciw paktowi pokojowemu między Rosją i Polską, jako niszczącemu układ niemiecko-sowiecki w Rapallo z r. 1922, odnowiony w Berlinie w r. 1926 i 1931. Dnia 27-go sierpnia r. b. rano przybył do Berlina z Moskwy ambasador niemiecki p. von Dircksen, celem zdania sprawy w przedmiocie rokowań polsko-sowieckich, jak podano do wiadomości w Berlinie. P. Litwinow, stanąwszy w Berlinie 28-go sierpnia, po naradach rannych z p. Curtius'em na Wilhelmstrasse, odczytał zebranym popołudniu w ambasadzie sowieckiej Unter den Linden dziennikarzom niemieckim i zagranicznym takie oświadczenie:

— Ostatnio powtarzały się w pismach wiadomości o rzekomo podjętych rokowaniach między Unją Sowietów a Polską w sprawie zawarcia paktu nieagresji, a wiadomościom tym przypisywano szczególne znaczenie. Powstały nawet spory między dziennikami i ajencjami telegraficznemi. Były one zupełnie zbyteczne, gdyż rokowania ani nie były, ani nie są prowadzone. Jestem przekonany, że sprawa pokoju i stosunków międzypaństwowych nietylko nie zyska, ale przeciwnie, ucierpieć może, jeśli rzeczywistość zasnuta zostanie mgłą i rozpuszczane będą wiadomości, które mogą w błąd wprowadzić opinję publiczną. — W sierpniu r. 1926, dokładnie przed 5-ciu laty, zaproponował rząd Zw. Sow. rządowi polskiemu zawarcie paktu nieagresji i przedłożył projekt swego planu. Podobny projekt przedstawił rząd Sowietów wszystkim państwom bałtyckim. Rząd polski odniósł się wówczas do wniosku sowieckiego negatywnie. Nie odrzucił go, oczywiście, wprost, co w dyplomacji rzadko jest stosowane, lecz uzależnił zawarcie paktu od warunków, o których z góry wiedzieć musiał, że przez rząd Z. S. R. R. przyjęte być nie mogą. Ponieważ rząd polski przy spełnieniu warunków się upierał, nie doszło do porozumienia, i rokowania zostały już w r. 1927 zerwane, a od tego czasu już nie były nawiązane. Pogłoska, że Zw. Sow. w październiku 1930 r. powtórzył swe propozycje wobec Polski, jest zmyślona. — Dokument, który przed kilku dniami został w Moskwie doręczony przez p. Patka, potwierdza ponownie negatywne stanowisko rządu polskiego wobec paktu, ponieważ w dokumencie tym nietylko powtórzono dawne warunki, lecz wysunięto nowe. Gdy p. Patek dokument ten doręczył, nie wysunął propozycji podjęcia rokowań, lecz uzasadniał doręczenie dokumentu tem, że życzy sobie zreasumowania wyniku rokowań w latach 1926 - 1927. W przeddzień doręczenia był p. Patek u mnie i ani słowem nie wspomniał o mającem nastąpić doręczeniu tego dokumentu. Nie mówił również wogóle o pakcie nieagresji, lecz oznajmił, że jedzie na urlop. — Mogę tylko dodać, że stosunki między Polską i Zw. Sow. nie były przedmiotem rokowań między Zw. Sow. a trzeciem państwem. — Propozycje Zw. Sow. co do zawarcia paktów, które dotychczas przyjęte i przeprowadzone, mianowicie z Finlandją, Turcją, Litwą, Persją i Afganistanem, dają nadzieję, że w najbliższym czasie w rzędzie tych państw znajdzie się Francja, z którą rokowania o pakt nie nastręczają trudności.— Oczywiście dążymy do polepszenia naszych stosunków także z Polską, lecz osiągnięcie tego celu nie może być oparte na rozszerzaniu pogłosek o nieistniejących rokowaniach, gdyż to może wywołać rozdrażnienie i sprzeczki, których należy uniknąć. Zmuszony jestem oświadczenie to złożyć nawet dla dobra stosunków między Sowietami i Polską.

Wedle doniesień Ajencji Havas'a do pism francuskich z 29-go sierpnia b. r. oświadczył nadto p. Litwinow, któremu stawiano pytania:

— Nie wiem, czy istnieje jakikolwiek związek między krokiem p. Patka a rokowaniami francusko - rosyjskiemi, a w każdym razie zobowiązania Francji wobec Polski i Rumunji nie byłyby naruszone paktem nieagresji między Francją i Rosją.

Również Ajencja Havas'a podała takie uzupełnienie:

— Zapytany o to, w jakim stanie rzeczy znalazłaby się Francja, związana z Rosją paktem nieagresji, w razie gdyby przyszło do wojny między Rosją i Polską, p. Litwinow odpowiedział: Wzbraniam się brać pod uwagę tę możliwość; o ile wiem, układ francusko-polski zobowiązuje Francję do wkroczenia na rzecz Polski tylko w razie, jeśli na Polskę napadnięto; ponieważ zaś nie mamy żadną miarą zamiaru uderzenia na Polskę, oraz ponieważ nadto pakt nieagresji rosyjsko-polski usunąłby wszelką możliwość tego rodzaju, nie mogłaby już istnieć żadna trudność dla Francji.

Oświadczenia p. Litwinowa, obok ogólnego objaśnienia sprawy rokowań i nierokowań polsko-sowieckich, zawierają jednak zarazem, właśnie w ostatniem zdaniu, wyraźny zwrot myśli w kierunku zawarcia także polsko-rosyjskiego układu o wzajemnem nienapadaniu.

12. — Tegoż dnia 28-go sierpnia b. r. wieczorem w Paryżu, w kilka godzin po oświadczeniach berlińskich p. Litwinowa, na przyjęciu, wydanem na wystawie kolonjalnej przez ministra kolonji p. Reynaud i przewodniczącego wystawy marszałka Lyautey na cześć p. ministra Zaleskiego, w obecności prezesa rady ministrów p. Laval'a i m. in. p. Berthelot'a z min. spr. zagr., w mowie swej p. Zaleski zaznaczył:

— Ostatnio, w pełnej z sobą zgodzie, przedsięwzięły nasze dwa rządy, każdy ze swej strony, rokowania z trzeciem państwem, celem dodania, do istniejących już, nowych układów t. zw. o nieagresji. Inicjatywa ta była zupełnie zrozumiała i oba nasze kraje, tak pokojowo usposobione, powitały ją z głębokiem zadowoleniem. Polska śledziła, z największą ufnością i z najżywszą życzliwością, wysiłki, podejmowane w tym kierunku przez rząd francuski. Uważam je za prawidłowy ciąg dalszy polityki pokoju, stale prowadzonej przez Francję i Polskę. Dlatego też nie zataję, że zaniepokojenie, wywołane przez nie w pewnych krajach, nie omieszkało mnie dotknąć, a było to zaniepokojenie tak silne, że sami rokujący się zawahali. Cele nasze są jasne. Wysiłki nasze zmierzają jedynie do wzmocnienia pokoju. Wyrażam przeto nadzieję, że, mimo nieprzewidziane przeszkody, które się czasem ujawniają, wysiłki, rozwinięte przez nasze dwa rządy, nie będą płonne.

Na przemówienie to, stwierdzające przedsięwzięcie rokowań z Sowietami osobno lecz zgodnie przez Francję i przez Polskę, oraz potrącające o objawy zaniepokojenia w Niemczech, odpowiedział p. Laval, zaznaczając, jak mówi sprawozdanie, podane pismom francuskim („Le Temps" nr. 25572, „Le J. des Déb." nr. 240 i in.), że:

— ...w toku rozmów dyplomatycznych, które odbywały się ostatnio, oraz tych, które wkrótce się odbędą, francuski prezes rady ministrów nie zapomniał i nigdy nie zapomni, że uczucie przyjaźni między oboma krajami winno zawsze je prowadzić.

Wzmianka ta obejmuje wszystkie rokowania, a w szczególności, niewątpliwie, te, w których

p. Laval sam brał udział, t. j. lipcowe w Paryżu i w Londynie i zamierzone w dalszym ciągu w końcu września w Berlinie z Niemcami.

---

Oto 10-dniowe dzieje, od 19-go do 28-go sierpnia r. b., bardzo ożywionej... kłótni w sprawie... zamiarów niezaczepiania się.

Najkrócej mówiąc, sprawa tak wygląda. Rokowania polsko-sowieckie w sprawie układu o wzajemnem niezaczepianiu się były uśpione od roku 1926-27. Rokowania francusko-sowieckie w sprawie takiegoż układu toczyły się, w związku z rokowaniami handlowemi, od kwietnia 1931 r. Po ujawnieniu 19-go sierpnia b. r. tych rokowań francusko-sowieckich i powstaniu pewnej niejasności w sprawie stosunków polsko-sowieckich, która wywołała zaniepokojenie we Francji, a inne znowuż w Niemczech, dość pospiesznym krokiem z 23-go sierpnia b. r. podjęła i Polska obudzenie swych rokowań z Sowietami. W tym pośpiechu i wśród dyplomatycznych posunięć i osłon powstały nieporozumienia, stanowiące wątek sporu, który snuje się przez urzędowe oświadczenia paryskie, warszawskie i moskiewskie, wskazując, że w Warszawie o Paryżu i w Paryżu o Warszawie nie wszystko dość dokładnie wiedziano. Tak się to przedstawia po wszystkich objaśnieniach ze wszystkich stron.

Narazie jest to przebicie się przez... nieistotną stronę sprawy, aby dotrzeć do... istotnej.

STANISŁAW STROŃSKI

# „IN NIGRIS"

## (NA MARGINESIE TWÓRCZOŚCI JERZEGO BERNANOS'A)

REDAKCJA „Myśli Narodowej" zachęca pisarzy polskich, by przyjrzeli się bliżej twórczości Georges Bernanos'a. Dawno już miałem wrażenie, że drogi i krzywizny myślowe tego niepospolitego autora winny być omówione obszerniej na łamach naszej prasy — powstrzymywała mnie jednak wciąż obawa wkroczenia w dziedzinę niebezpieczną nad wyraz dla kogoś, kto nie chce wejść w kolizję ze wskazaniami Rzymu. P. Kazimierz Marjan Morawski, o „Wielkiej trwodze dobrze myślących" wyczuł zapewne to samo — gdyż, jak powiada, chętnie przeczytałby studjum o Bernanosie pióra światłego teologa katolickiego. Nie zdaje mi się jednak, by ktoś z naszych najoświeceńszych kapłanów — O. Jacek Woroniecki, O. Jan Rostworowski T. J., czy ks. dr. Henryk Likowski — że wymienię tylko tych trzech, których umysłowość jest mi bliżej znana — zechciał zagłębiać się dziś w labirynty, od których krok tylko do interdyktu, wiszącego wciąż nad grupą „*Action Française*". Rola duchownego jest w danym razie niezmiernie trudna — stokroć łatwiej pisać o tych rzeczach świeckiemu, który zastrzega się zgóry, że niema zamiaru wkraczać w *meritum* interdyktu, ani w żadne roztrząsania, mogące wyglądać na krytykę stanowiska Stolicy Apostolskiej. Ja osobiście przyznaję się otwarcie, że zdjęcie owego interdyktu powitałbym z głęboką radością — niemasz nic zdrożnego w modlitwie o nawrócenie zbłąkanych i o dopuszczenie ich z powrotem do łask Kościoła.

Los zrządził, że jestem jedynym Polakiem, związanym z Bernanos'em węzłami dawnej przyjaźni, sięgającej ławy uniwersyteckiej w Sorbonie. Podczas wojny straciliśmy się z oczu — stosunki nasze nawiązały się po wyjściu „Słońca Szatana"— tej niepospolitej książki, którą nawet niechętni określili mianem „*oeuvre d'un génie fou*". Od dwóch lat Bernanos mieszka na Rivierze. Z okien jego pracowni, na drugiem piętrze *château du Mont Fenoillet*, w Hyères, widać daleki szmat morza i zarysy wysp Złotych — *Iles d'Or* — tego pejzażu, w którym umieścił swego Korsarza nasz Konrad Korzeniowski.

Jest w tem pewna nić analogji. Georges Bernanos — którego rodzina jest hiszpańskiego pochodzenia — wywodzi się z piratów morskich— owych sławnych *flibustiers*, którzy w wieku XVII kładli podwaliny kolonjalnego imperjum Francji. Ojciec jego był zamożnym właścicielem ziemskim w Normandji. Autor „Słońca Szatana" zdradza wyraźne dziedzictwo krwi. Jest w nim fanatyzm hiszpański o podkładzie mistycznym, widoczny nawet w spojrzeniu — a równocześnie zimna, surowa skłonność do flaubertowskiej analizy, wiecznie skłócona z nawrotami uniesień, typowo francuskich, w stylu Leona Bloy, Rochefort'a czy Clemenceau. Ludzi tego typu palono kiedyś na stosach. Bernanos łączy w sobie archaiczny fanatyzm zażartego katolika z odchyleniami myślowemi, bliższemi herezji, aniżeli wyrozumowanego odszczepieństwa. Gdy patrzę na Bernanos'a, przypomina mi się czasami sędziwy Wacław Jełowicki na polach Daszowa, odmawiający Modlitwę Pańską: „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... Nie mogę, Panie, nie mogę im odpuścić...".

Środowisko rodzinne Bernanos'a jest ilustracją prostolinijności jego życia. Żona jego jest z domu Jeanne Talbert d'Arc. Nazwisko, będące symbolem najpiekniejszych tradycji Francji. Pochodzą oni w prostej linji od brata Dziewicy Orleańskiej i mają pergaminy królewskie, pozwalające na przekazywanie nazwiska po kądzieli. Dzieci autora „Wielkiej Trwogi Poczciwych" piszą się Bernanos d'Arc. W nazwisku tem dźwięczą dwie tradycje. Dom jest nawskroś katolicki. Staruszek ksiądz codzień przychodzi na lekcje. Przed posiłkiem dziesięcioletni syn Jerzego odmawia głośno odwieczną, starofrancuską modlitwę. A pod dachem tym zbierają się najczęściej ludzie, których czeka może jutro pogrzeb bez księdza — którym sakrament małżeństwa udzielony być może tylko w zakrystji, *in nigris*, którzy wciąż stoją przed dylematem: albo odejść od grupy „*Action Française*", w której widzą zbawienie Francji, albo nie dostać rozgrzeszenia...

Nie naszą jest rzeczą sądzić. Trudno jednak nie dostrzec całej goryczy człowieka wierzącego, który zwykł słuchać głosu sumienia. Jedni poddają się bez szemrania orzeczeniu Kościoła i odchodzą od grupy Maurras'a. Inni mówią; wyrzeczenie się zasad „*Action Française*" byłoby fałszem, pomimo wyrzeczenia byłbym w duchu zwolennikiem dawnych przekonań: uczciwiej więc będzie

nie zapierać się tego, w co wierzę, i czekać, aż Stolica Apostolska cofnie interdykt: pragnę zgody z Kościołem z całego serca, a ten sam Kościół nauczył mnie prawdy odwiecznej, że kompromisów z sumieniem niema.

Kwestja owego interdyktu jest zawiła i ciemna. Wyraźny jest jeden punkt tylko: pisma Charles Maurras'a, jednego z szefów monarchizmu francuskiego, znalazły się na indeksie. Maurras'a określiłbym w sposób następujący: jest to zwolennik Watykanu, który chciałby być katolikiem, ale nim nie jest — przyznaje się bowiem otwarcie, że brak mu poczucia religijnego. Owe pisma stały się powodem interdyktu. Monarchiści znaleźli się wobec dylematu — albo wyrzec się Maurras'a, który odrodził i zorganizował ich grupę, albo znaleźć się w stanie inobedjencji Kościołowi. Woleli oni inny sposób wyjścia — prosili Stolicę Apostolską o sąd, o instrukcje, o łaskę. Satysfakcji dotąd nie otrzymali.

Spiętrzyły się tu komplikacje przeróżne. Szerzą się plotki. Jedni twierdzą, że zwrócił uwagę na błędne doktryny „integralnego nacjonalizmu francuskiego" niemiecki kardynał Fruhwirth i wpływy swoje w Watykanie wyzyskał. Inni mówią, że p. Arystydes Briand, ongiś autor prawa o rozdziale Kościoła od państwa, porozumiał się z nuncjuszem paryskim Mgr. Maglione i zobowiązał się do niestosowania ustaw antykościelnych, o ile „główne niebezpieczeństwo" republiki — ugrupowanie monarchistyczne „*Action Française*", wierne Maurras'owi, nadal pozostanie w niełasce Pontyfikatu. Faktem jest, że Watykan jest dziś w dobrych stosunkach z rządem francuskim, w myśl zasady, że „wszelka władza pochodzi od Boga". Sytuacja narodowców francuskich jest obecnie nad wyraz ciężka.

Chcąc ją zrozumieć, wyobraźmy sobie, że prymasem Polski zostaje nagle ks. kardynał Żongołłowicz, że znajduje on w pismach Romana Dmowskiego jakiś ustęp, dający się interpretować dwojako, i że na tej podstawie udaje mu się w Rzymie uzyskać interdykt, którym obłożone zostaje Stronnictwo Narodowe. Co począłby wówczas Polak narodowo myślący? Opuściłby bastjon, przeciwstawiający się celom „sanacji"?

Nie idźmy jednak zadaleko w fantazjach. Na szczęście, stosunki w Polsce są inne i Watykan je doskonale zna. Coś takiego u nas jest nie do pomyślenia. Jeżeli zboczyłem ku tym manowcom, to jedynie, by uwypuklić głęboki konflikt sumienia tych Francuzów, którzy chcieliby żyć harmonijnie — być w absolutnej zgodzie z Kościołem, a równocześnie służyć Ojczyźnie własnej w myśl programu integralizmu narodowego.

Dotykamy istoty rzeczy. Z kół, bliskich Watykanowi padają ostrzeżenia w stronę środowisk i jednostek, propagujących ów właśnie nacjonalizm integralny, o różnorodnem rozpięciu programowem. Zarzut główny sformułowany jest wyraźnie, chociaż interpretacja pozwala na dowolności. Wszędzie prawie — pisze ks. kanonik Poivert w „*Bulletin religieux de La Rochelle*" — zauważyć można wysiłki ku proklamowaniu jakiegoś ubóstwienia idei Ojczyzny, ogłoszenia, że jest ona czemś, co winno być ponad wszystkiem — jednem słowem, oddawania Cezarowi tego, co winniśmy jedynie Bogu".

Na to „*Action Française*" odpowiada: a „*Deutchland über alles*"? A Hitler, którego próbował uśmierzyć arcybiskup moguncki, i nie uzyskał ani interdyktu, ani listów pasterskich w innych djecezjach? A faszyzm włoski?

„Faszyzm włoski jest władzą ukonstytuowaną, mówi na to tenże kanonik, i ma w ręku losy miljonów ludzi, podczas gdy „*Action Française*", jakiekolwiek byłoby jej znaczenie społeczne, władzy nie posiada".

Charles Maurras nie chce kapitulować. Często przedrukowuje ustępy swej korespondencji z książętami Kościoła z lat dawnych. „Pióro Pańskie w obronie Kościoła i Wiary św. więcej jest warte, niż szabla" pisał do niego kiedyś szczerze mu przyjazny arcybiskup z Montpellier kardynał de Cabrières.

Wycieczki przeciwko Watykanowi, polemiki, porównywanie czasów Piusa X i chwili obecnej — wszystko to jest chlebem powszednim czytelników *Action Française*". Pismo to często przebiera miarę, staje się w swej zażartości przykre. Zapewne niemiło jest katolikowi francuskiemu czytać opis pogrzebu hr. de Marcilly, długoletniego prezesa związku katolickiego, fundatora kościołów, który pogrzebany został w parku zamkowym, bez rozgrzeszenia i Sakramentów, pożegnany „*De Profundis*", wyrecytowanem przez najstarszego syna. Z drugiej strony jednak nie sposób powstrzymać się od uwagi, że niezłomność Kościoła jest jego potęgą. Mści się tu nagminna choroba, którą nazwałbym przerostem dziennikarstwa w życiu: przyzwyczailiśmy się dyskutować o wszystkiem, sądzić, wypowiadać zdanie nasze tam, gdzie stokroć lepszem byłoby — milczenie...

Dlatego też, mówiąc o tematach powyższych, referuję jedynie parę punktów wytycznych, i nie pozwalam sobie na żadne konkluzje. Przyznaję, że mam sympatję do rojalistów francuskich, gdyż są to najlepsi dziś patrjoci w kraju św. Ludwika i najszczersi przyjaciele Polski. Pisywałem nawet czasami w „*Action Française*"— dziś jednak trzymam się na uboczu, gdyż jeden z wyższych dostojników kościelnych mnie ostrzegł, że sam fakt dorywczej współpracy z tem pismem, na tematy nic wspólnego z Rzymem nie mające, wystarcza, by ściągnąć na siebie wszystkie rygory interdyktu.

Rozpisałem się dłużej o fatalnej, gorzkiej sytuacji, w której znaleźli się rojaliści francuscy. Powikłania te kryć mogą nawet tragizm. Mówię o tem, zważywszy, że Jerzy Bernanos, stojący w centrum konfliktu, wywołał zainteresowanie w Polsce, i że w myśl życzenia Redakcji „Myśli Narodowej" wszczęta ma być wymiana zdań na temat „Wielkiej Trwogi Poczciwych".

Bernanos jest istotnie, jak przypuszcza pan K. M. Morawski, chlubą grupy Maurras'a i Leona Daudet. Wyrósł on w orbicie ich wpływów, ale poszedł własnemi drogami. Formalnie biorąc, do „*Action Française*" nie należy, i w tem piśmie nic nie drukuje. A jednak i on, i całe jego najbliższe otoczenie zespolone jest niezmiernie ściśle z „integralnym nacjonalizmem" francuskim. Istnieje tu przedewszystkiem łączność moralna. Nie wisi nad tymi ludźmi interdykt, ale czarny cień interdyktu. Ta okoliczność jest kluczem, pozwalającym na zrozumienie pewnych dygresyj, których tyle nagromadziło się na kartkach „Wielkiej Trwogi" — które wytworzyły

swego rodzaju *outline* tej dziwnej, niezwykłej książki. W tej również dziedzinie szukać należy komentarza do „*Imposture*“ Bernanos'a, wydanej dwa lata temu, tej *sui generis* monografji wahającego się odstępstwa, rzeczy mętnej, ciężkiej, która napisana została raczej z potrzeby zrzucenia z ramion ciężaru, aniżeli z inicjatywy twórczej.

— Mam wrażenie — powiedziałem niedawno Bernanos'owi, że grozi wam wszystkim jakiś neokatolicki superintegralizm, *une chapelle particulière*.

— *Jamais*, zaperzył się, potrząsając czupryną, jak Reymont. I długo, biegając po pokoju, z pasją uzasadniał całą swoją nienawiść do wszelkiego protestantyzmu, do wszelkiej herezji, rozbijającej j e d n o ś ć ł a c i ń s k ą.

Na temat tej jedności i wypływających z niej paralelizmów doszliby z nim napewno do porozumienia i ś. p. Rektor Kazimierz Morawski i jego syn, którego artykuły ostatnie wyglądają na prolegomena świetnej jakiejś, krystalizującej się książki, sięgającej nietylko w przeszłość, ale i w przyszłość przeznaczeń Polski [1]).

EDWARD LIGOCKI

---

[1]) Pan K. M. Morawski ubolewa i słusznie, że bibljotekę Drumonta kupili żydzi. Odpowiem mu na to, że sławna l a P a i v a, żydówka portugalska, późniejsza hr. D o n n e r s m a r c k, szpiegówka niemiecka i ladacznica, wylegiwała się na łóżku Ludwika XV. Czyż, mimo wszystko, nie znajdzie się kiedyś, nawet w tłumie spłoszonych konserwatystów „*singing to welcome the pilgrims of the night?*“

# FILOZOFICZNO-PSYCHOLOGICZNA TRAGEDJA JUGOSŁOWIAŃSKA

(BOŻE LOVRICZA: „SYN“) [1])

ABY POETA lub pisarz mógł być uważany za pierwszorzędnego, musi ująć w swoich dziełach prawdziwy sens filozofji i psychologji swego narodu i przedstawić go tak, jak on w rzyczywistości wygląda. Lovriczowi udało się to w doskonałym stopniu w jego tragedji „Syn“, napisanej (wbrew twierdzeniu włoskiej krytyki) bez wpływów obcych, bowiem naród jugosłowiański jest tak bogaty w motywy, będące dla Zachodu czemś wręcz niepojętem, że autor nie potrzebował sięgać po motywy obce i „Syn“ jest niezmiernie ciekawem, specyficznie jugosłowiańskiem dziełem.

Każdy naród jest takim, jaką jest jego filozofja i psychologja, czyli innemi słowy: takim jest naród, jakimi byli jego najwyżsi przedstawiciele, opiewani w pieśni narodowej — a w tym wypadku, gdy idzie o Jugosławję, jego narodowi bohaterzy, którzy wycisnęli na nim pieczęć swych myśli i czynów.

„Syn“ jest dziełem filozoficzno-psychologicznem, dającem nam możność poznania specyficznej, heroicznej jugosłowiańskiej duszy, którą Jugosławja odziedziczyła po swych narodowych bohaterach.

Ta właśnie bohaterska dusza Jugosławji, bez względu na wpływy romańskie, bizantyjskie, tureckie i inne, stworzyła w narodzie jugosłowiańskim takie właściwości, któremi, w gronie narodów słowiańskich, powołanych do urzeczywistniania najwyższych ideałów i wzorów człowieczeństwa, wyróżnia się jako coś niezwykłego. Tę niezwykłość pojęła i George Sand, przyjaciółka Szopena; w dziele swojem „Uskoki“ uważa ona naród jugosłowiański za szczyt moralności, cnót rycerskich, najwyższych ludzkich wartości i ideałów, jednem słowem za szczyt człowieczeństwa.

Historycy niemieccy, którzy nigdy nie byli przyjaźnie usposobieni dla Słowian, Uskoków uważali nie za ludzi, lecz za pół-bogów. Wodzem Uskoków był wielki książe Iwan Vlatković, który zginął śmiercią męczeńską w r. 1612, zamordowany przez Habsburgów.

Jugosłowiański naród nie napróżno nazywany jest narodem serca, duszy i prawdy. Pojąć ten naród i jego tęsknoty — znaczy zgłębić jego psychiczne twory i wczuć się w jego duszę. W tak zrozumianym narodzie widzimy ucieleśnienie samopoświęcenia, bez którego nie mogą istnieć słowiańskie państwa, słowiańskie narody. Ta jugosłowiańska specyficzna samoofiarność, uwarunkowana jest bohaterstwem, człowieczeństwem i honorem. Bez tych wartości nie może istnieć jugosłowiańskie państwo, ani jugosłowiański naród w pojęciu jego wzniosłych narodowych bohaterów.

Jugosłowianin położy w ofierze życie za każdego innego słowianina, gdy idzie o byt wiecznie istniejącej, w jego pojęciu boskiej Słowiańszczyzny. I czyż może być coś idealniejszego i świętszego nad tak pojętą samoofiarność? Nie, bowiem w tej samoofiarności, która jest *spiritus rector i spiritus movens* całej istoty Jugosłowiańszczyzny, leży zbawienie Jugosławji, zbawienie wieczystej Słowiańszczyzny.

Taka samoofiarność napisała jugosłowiańską krwią powieść narodu jugosłowiańskiego, u którego życie ludzkie, gdy szło o byt, człowieczeństwo i honor tego narodu, nie miało nigdy żadnej ceny. Jugosłowianin istnieje na ziemi po to, by płodzić wzniosłe pokolenie i ofiarować się za Słowiańszczyznę. Naród polski, pragnący poznać jugosłowian takimi, jakimi są w rzeczywistości, powinien zobaczyć przynajmniej ich sztuki na swych scenach. Ku powszechnemu bowiem słowiańskiemu wstydowi — my, Słowianie, znamy się nawzajem między sobą mniej, niż Niemcy nas, Słowian, a my, Słowianie — Niemców.

Treść „Syna“: W jugosłowiańskiej wiosce mieszkają starzy rodzice, którzy syna swego ożenili z Andzielją. Synowa ta kocha właściwie pobratyma swego męża, lecz w tajemnicy, tak, że

---

[1]) Bawiący w Warszawie na studjach polonistycznych krytyk jugosławiański Nikola Vlatkowicz na prośbę naszą skreślił szkic literacki, który tutaj podajemy. O ile wiemy, autor przełożył na język polski znakomity utwór sceniczny Lovricza. Świat literacki i teatralny w Polsce z zainteresowaniem przeczyta pracę p. Vlatkowicza i być może zechce widzieć na scenie polskiej utwór poety tak sympatycznego Polsce, pobratymczego narodu. — Red.

o tem nikt nie wie. Pewnego dnia nieprzyjaciele napadają na tę wioskę zbrojnie. Od granic wsi wszystko jest podpalone i skazane na zagładę, gdyż wieś jest nieuzbrojona i oporu stawić nie może. Syn, jak i wszyscy domownicy, pragnie zmóc wroga, by w ten sposób uratować wioskę. Wie jednak, że silni wrogowie uśmiercą każdego, kto się odważy podnieść broń przeciwko ich wodzowi. Ponieważ Syn ma żonę i oczekuje od niej potomka, Pobratym, chociaż żywi do Andzielji gorące uczucie, nie chce, aby pozostała ona wdową, a jej dziecię sierotą. Dlatego też stara się wyrwać z rąk Syna strzelbę przemocą, widząc, że ten gotów jest już zastrzelić Wodza nieprzyjaciół. Podczas szamotania się Syna i Pobratyma o zdobycie broni i pierwszeństwo w poświęceniu się, strzelba zostaje w ręku Syna, który też zabija Wodza nieprzyjaciół. Następca tego Wodza wkracza do domostwa Rodziców, by ustalić, kto zabił Wodza i by ukarać winowajcę śmiercią. W toku śledztwa miłość Ojca do Syna i Pobratyma do Syna wyraża się w tem, że i Ojciec i Pobratym biorą winę zabójstwa na siebie. Następca zabitego Wodza każe odprowadzić na miejsce kaźni Pobratyma, sądząc, że on to właśnie zabił jego poprzednika.

Syn nie może dopuścić do śmierci swego Pobratyma i dlatego oznajmia, że on, a nie Pobratym, zabił Wodza i zostaje rozstrzelany.

Ojciec i Pobratym kopią grób dla Syna przy czem symboliczną rolę odgrywa grabarz.

Po śmierci Syn wraca do Matki pod postacią ślepca, by mówić z nią o zagadkach życia. Specyficzna filozofja bohaterstwa jugosłowiańskiego daje Matce moc przebolenia swej straty, a nawet radość, że spłodziła junackiego Syna, który zginął dla dobra ogółu.

Głównym motywem Lovriczovego „Syna” jest jugosłowiańska ofiarność, która swoją specyficznie jugosłowiańską filozofją i psychologją zwalcza miłość kobiety jako żony i jako matki, tak samo jak i mężczyzny — jako męża i ojca. Ta samoofiarność najjaskrawiej wyraża się w „pobratymstwie”, będącem czemś wyłącznie jugosłowiańskiem, a płynącem z samoofiarności, jako zasadniczej cechy jugosłowianina.

„Pobratymstwo” jest najidealniejszą przyjaźnią, zawieraną zwłaszcza w nieszczęściu między dwoma mężczyznami, którzy w potrzebie gotowi są dać życie jeden za drugiego.

Ponieważ niniejsza krytyka Lovriczowego „Syna” przeznaczona jest dla Polaków, trzeba przypomnieć, jak zapatrywał się na bohaterskich jugosłowian Mickiewicz. Rozmiłował się on w jugosłowiańskich junakach i w jugosłowiańskiej poezji epicznej i dlatego w swoich prelekcjach wiele pracy poświęcił, by przedstawić jugosłowian tak, jak on ich pojmował.

Mickiewicz stwierdził w jugosłowiańskiej poezji epicznej i w jugosłowiańskich bohaterach narodowych: ludzkość, miłosierdzie, oszczędzanie jeńców, wielkie poszanowanie kobiety, w której mężczyzna widzi matkę i swoją i swoich dzieci, brak pogardy dla płci żeńskiej, jaka istnieje w poezji t. zwanych kulturalnych narodów, rycerskość i inne wartości. Według jego poglądu język jugosłowiański jest najbardziej harmonijny i muzykalny. Jest on niejako włoskim językiem między językami słowiańskiemi. Ten polski genjusz, porównywając grecką Iljadę z jugosłowiańską poezją narodową — dochodzi do przekonania, że jugosłowiańska poezja narodowa, ludzkością, rycerskością i wielu innemi przymiotami jej bohaterów przewyższa i Iljadę i Greków, a tem samem i ich kulturę, która uważana jest w świecie za podstawę kultury europejskiej.

W Lovriczowym „Synie” widzimy, jak naród jugosłowiański pojmuje cel pracy, gościnność, przyjaźń i nieprzyjaźń, jak się zachowuje wobec nieprzyjaciół, jak pojmuje dobroć, ludzkość i rycerskość, co widzi w narodzinach i w śmierci, a co znowu w świętem macierzyństwie, jak w utrudzeniu widzi radość i jak ją objaśnia, jak pojmuje kajanie się, które jest cięższe od grzechu, ale do zbawienia człowieka wiedzie, jak znowu wdzięczność, która jest pochodzenia nadprzyrodzonego, jak czci życie rodzinne i jak ojciec kocha junackiego syna, który dla dobra ogólnego ginie i dlatego ojciec, pomimo utraty jedynego syna, szczęśliwy jest, że takiemu synowi dał życie...

Z następujących wierszy widzimy, jak ojciec porównywuje życie swego junackiego syna z winoroślą, pełną owoców, która czeka na nóż, jak się zapatruje na miłość i nienawiść. Ojciec mówi do pobratyma o synie:

„Teraz on, jak winorośl pełna gron, co czeka na nóż, który zerwie plon. Idzie pora, że pełnemi rękoma rozsypie, co długo i skrzętnie gromadził. Zbierał, by wszystko w jednym wydać dniu. Dla wielkiego czynu gęśle długo wspominać go będą“.

„Słyszysz, jak miłość i nienawiść ostatni toczą bój? Nienawiść rośnie i niesytnym głodem źre siebie, lecz miłość rozkrzyżuje swe ręce, by cierpiących w ramiona swe przyjąć“.

Według zapatrywań jugosłowianina matka jest istotą bliską Matce Chrystusa, który zmartwychwstał nie dla cudzych grzechów, bo Bóg grzesznikom i cierpiącym dawno przebaczył, lecz zmartwychwstał dla matki, by ułagodzić jej ból. Potęga matki jest tak wielka, że nawet Bóg nie waży się obalić jej czynów, bo: „Gdy matka przeklnie, nawet Bóg nie przebacza“.

Z kultu matki-rodzicielki rozwinęła się w duszy jugosłowianina wielka miłość dla kobiety. Nic nie może jugosłowianina tak wzburzyć i podniecić do nadzwyczajnego stanu duszy, jak krzywda wyrządzona kobiecie. Za tę krzywdę gotów jest w każdej chwili rzucić się na uzbrojonego nieprzyjaciela i ukarać tego, kto słabej kobiecie zadał ból.

Syn mówi do ojca:

„Widziałem matkę, której wyrwano dzieci, a kiedy na twarz się rzuciła, błagając litości, rozniesiono na nożach jej syna. W szaleństwie rozpaczy na noże się rzuciła, aby wyrwać. Czemu wilkiem nie byłem, by osądzić zbrodniarzy, by rżnąć, dławić i wszystkich zetrzeć“.

Chociaż jugosłowianin względem wroga zawsze zna litość, wyjątkiem są wypadki, gdy idzie o krzywdę, wyrządzoną kobiecie.

Biedny i nędzny jest człowiek, który jest powodem cierpienia kobiety, lub podnosi na nią rękę — nie jest to człowiek, który, aby być szczęśliwym, musi być junakiem, ale nędznik, który musi umrzeć. W junactwie jest szczęście. Junactwo gna człowieka na śmierć, jak i na wesele. Hańbą jest dla ojca, jeśli nie ma junackiego syna, którym rządzi poczucie człowieczeństwa, a nie prosta siła. Oto cecha jugosłowianina.

(Dok. n.) NIKOLA VLATKOWICZ

# NA WIDOWNI

Krótka opowieść o Stanisławie Głąbińskim 1902—1931.— Demokracja narodowa w Galicji. — Głąbiński w parlamencie wiedeńskim. — Blok bezpartyjny współpracy z rządem austrjackim.—Bobrzyński i Biliński jako BB.— Walka o Polskę. — Zwycięzcy i zwyciężeni.

W TYCH DNIACH Klub parlamentarny Stronnictwa Narodowego zgotował swemu seniorowi, znakomitemu parlamentarzyście, senatorowi prof. Głąbińskiemu gorącą owację z powodu despektu, które mu zrobiło ministerjum oświecenia, usuwając go w pełni sił żywotnych na emeryturę, jako że przekroczył przepisowy okres wieku.

Skądże ta troskliwość? Opowiem, skąd to poszło.

Poznałem Stanisława Głąbińskiego 30 lat temu. Z wiosną r. 1902 stronnictwo wysłało mnie do Lwowa, abym objął redakcję świeżo nabytego (w drodze dzierżawy) „Słowa Polskiego". Wysadziliśmy z tego posterunku demokratów polskich (Romanowicz, Rutowski i in.). Zdawałoby się drobna zmiana: zamiast polskich weszli demokraci „narodowi". A jednak był to radykalny przełom. Galicja polityczna dzieliła się wtedy na kilka stronnictw, które rozebrały między siebie cały obszar interesów. Konserwatyści—to była większa własność ziemska i kapitały, demokraci polscy — to mieszczaństwo, żydzi, przemysł, inteligencja; ludowcy — to chłopi, socjaliści — to robotnicy. Wszystko miało swoich „zastępców", tylko naród się zgubił. Jego interesów nie miał kto bronić. Najwięcej obycia ze sprawawi narodowemi mieli konserwatyści, ale od dłuższego czasu, złożywszy je z zaufaniem w ręce „monarchy" (przy tobie, panie, stoimy), identyfikowali je z interesami monarchji. Była pod tym względem zgoda między stronnictwami.

Można sobie wyobrazić, jakiem okiem patrzano na intruzów. Czego my chcemy od Galicji? Patrjotyzm czynny był na swojem miejscu w zaborze rosyjskim, który—wiadomo—miał przeznaczenie walczyć z caratem. Ale co myśl narodowa ma do roboty w Galicji, gdzie są tylko zagadnienia socjalne? Demokraci polscy w „Słowie Polskiem" promowali 1900 r. na mandat do parlamentu Daszyńskiego, jako przedstawiciela interesów demokracji socjalnej i postępu. A teraz cóż powiedzą czytelnikom „przybysze"?

Właśnie w tym roku 1902 w żniwa Galicją wstrząsnął strajk rolny ludności ruskiej. My dzisiaj (od r. 1913) dobrze wiemy, że ruch wśród Rusinów miał swoją sprężynę w Niemczech, że sprzyjała mu Austrja. W r. 1846 polityka polska Austrji była prymitywna—puszczono chłopów z nożami na szlachtę personalnie; teraz są metody socjalistyczne — strajk. Nie jest dotąd rzeczą wyjaśnioną, czy konserwatyści krakowscy nie wiedzieli o działającej tam ręce niemieckiej. Wówczas przypisali ten strajk i bunt złej polityce „Podolaków" i... Demokracji narodowej. Powtarza to i dziś jeszcze Bobrzyński w swych „Dziejach". Demokraci i liberalni i socjalni byli duszą po stronie Rusinów. Czyż można sobie wyobrazić „demokratę" — tak myślano — któryby mógł przeciwstawiać się jakiemuś ruchowi?

Tymczasem znalazł się taki demokrata, ale narodowy: Głąbiński. Był już wtedy posłem do parlamentu z naszego poparcia, związany ze „Słowem Polskiem" ideowo. W październiku na jednem z pierwszych posiedzeń parlamentu wynikła debata w sprawie ruskiej. Daszyński dokonywał cudów krasomóstwa w obronie Rusinów. Aliści zapisał się do głosu Głąbiński i w świetnej mowie wypowiedział zdanie tego kroju:

„Igraszki Rusinów sprawiły jednak, że polskie stronnictwa (tak im wmawiał dla dodania Polakom powagi) — zbliżyły się do siebie i można wyrazić nadzieję, że to zbliżenie będzie także i nadal utrzymane.

I tak widzicie mnie tu, panowie, mnie — reprezentanta polskiej demokracji narodowej, broniącego bez zastrzeżeń interesów wszystkich Polaków w Galicji Wschodniej. Jestem upoważniony oświadczyć to samo także imieniem opozycyjnej partji ludowej.

My, demokraci, jesteśmy zdecydowani poświęcić nasze mienie, a w konieczny razie także nasze życie dla narodowej sprawy w Galicji wschodniej".

Pierwszy to raz z trybuny parlamentarnej wymieniono nazwę nowego stronnictwa. Budzić to musiało pewną czujność ze strony zaborców. Wiedziano już dawno od r. 1895 (powstanie „Przeglądu Wszechpolskiego") o ruchu, który się poczynał w Warszawie. W r. 1897 była już organizacja stronnictwa DN w Warszawie, ale poufna. A oto teraz w Galicji ukazuje się jawnie. Niebawem w r. 1903 w Katowicach pod tem zawołaniem wybrani byli posłowie do parlamentu berlińskiego: Korfanty i Kowalczyk. Zbliżał się czas, że sprawa polska znowu wypłynie na powierzchnię; zaborcy porozumiewali się, jakby teren tej sprawy okroić, a więc przyśpieszono sprawę „ukraińską", potem wypływa Chełmszczyzna, wzmaga się system eksterniacyjny w Prusiech. A jednocześnie w Galicji mobilizowane są stronnictwa do walki z ruchem wszechpolskim. Ogłoszony niebawem (1905) program str. DN. zaczynał się od słów:

„Stronnictwo D. N. w państwie austrjackiem jest związkiem politycznym Polaków, którzy przyjmując za punkt wyjścia swego programu jedność narodu polskiego, jego prawo i zdolność do niezawisłego bytu politycznego i potrzebę nieustannej pracy dla osiągnięcia tego bytu, ma w dzisiejszych warunkach prawnych na celu: a) zdobycie dla społeczeństwa polskiego w tem państwie jaknajwiększej samodzielności politycznej, kulturalnej i gospodarczej" i t. d.

Zaczęła się wtedy walka z „orjentacją austrjacką". Nie w roku 1914 ona się zaczęła, ale już w r. 1902. Kadry późniejszego NKN'u z czasu wojny i ich duch, który przeżył wojnę i Austrję, aby pokutować dalej w wolnej już Polsce, formowały się szereg lat pod komendą rządu austrjackiego przy pomocy intelektualnej stańczyków.

Galicja wschodnia, czujniejsza narodowo, niż zachodnia oświadczyła się za nami; świadczyło o tem powodzenie „Słowa Polskiego" oraz rezultaty wyborów do sejmu i parlamentu. Po reformie wyborczej (na rzecz powszechności) Koło Polskie w Wiedniu (1907—10) liczyło demokratów narodowych 20; konserwatyści spadli do 9; demokraci polscy — do 11; ludowcy, którzy już należeli do Koła, mieli 18 miejsc, prócz tego Stojałowczycy (do nas zbliżeni) 6. Prezesem Koła był Głąbiński, ten, który w r. 1902 sam jeden nas reprezentował.

Ten stan rzeczy był dziełem bardzo dużego wysiłku organizacyjnego i publicystycznego stronnictwa, ale w swoim wyrazie parlamentarnym był niepodzielną zasługą Głąbińskiego. W nim pierwszy raz poznałem, co to jest człowiek kompletny w doskonałej kulturze pracy. Człowiek uregulowany, wypracowany wewnętrznie, harmonijnie zestrajający swoje bogactwo moralne z intelektualnem.

Poziomem, na którym budował była lojalność wobec idei (zasady), lojalność, która—w miarę wysiłku, dla idei ponoszonego, zamieniała się w przywiązanie. Obawiano się jego dobroci, która w stosunkach z przeciwnikami mogła prowadzić do kompromisowości. Był ustępliwy, ale ustępował raczej z siebie, nigdy z idei—to była trwała podstawa.

Imponuje ludziom swoją wiedzą w zakresie zagadnień społecznych, pamięcią, biegłością i świetną gospodarką słowa. Ale zdobywa sytuacje i utrwala charakterem. Nie myśli o sobie, gdy coś robi, nie komplikuje walki rachunkiem osobistym; niezwykle wyrozumiały i szanujący cudzą miłość własną, daje przeciwnikom wielkie fory, aby się odegrać rzeczowo. Zanim mu ktoś się przeciwstawi, wprzód stwierdzić w sobie musi, że go poważa, że mu wierzy, że nawet go lubi.

Byli ludzie, którzy na jego uczciwość polityczną i prawdomówność patrzyli, jak na manewr taktyczny. Austrja od góry do dołu budowana była na kłamstwie; człowiek posługujący się prawdą, miał wielkie szanse, dezorjentował bowiem i psuł szyki. W oczach polityków wysuwanie prawdy wyglądało na rafinowane kłamstwo dla jakichś ukrytych celów. Cesarz Franciszek - Józef tak znużony był kłamstwem i pochlebstwem otoczenia, że miał przyjemność osobistą w wyróżnianiu Głąbińskiego. Kiedy ten w r. 1911 był prezesem Delegacyj wspólnych i ministrem, cesarz zrobił mu wyznanie: „Pan jest jedynym Polakiem, który pod nikim nie kopie dołków“.

Siła twórcza Głąbińskiego polega na tem, że darom swoim nie daje próżnować. Zadziwiająca jest łatwość i wydajność jego pracy. Nie było momentu w jego karjerze politycznej, żeby dla swych rozlicznych zajęć przerwał wykłady uniwersyteckie. Posłował i kierował pracą swoich grup w trzech izbach prawodawczych, bo nietylko w sejmie galicyjskim i parlamencie wiedeńskim, lecz i w sejmie bukowińskim (wybrany z Czerniowiec). Noce spędzał w wagonie, do którego wsiadał wprost z posiedzenia, aby rano z walizką zjawić się w innem mieście. W czasie swej prezesury w Kole Polskiem potrafił być jednocześnie rektorem uniwersytetu lwowskiego i to wzorowym. A jednocześnie, zamykając się na ferje w bibljotece, wykończał swoje dzieło o skarbowości.

Już wcześniej przed p. Jędrzejewiczem zabiegali drogę Głąbińskiemu inni: Bobrzyński, potem Biliński. Sięgnijmy po zarzucony w tem opowiadaniu wątek sprawy ruskiej. Po owym strajku rolnym namiestnik Leon Piniński ustąpił miejsca (1903) konserwatyście krakowskiemu Andrzejowi Potockiemu. Tamten pomówiony był o popieranie polityki ziemian podolskich, którzy radykalnym żywiołom hajdamackim przeciwstawiali lojalność starorusinów i na nich oprzeć się chcieli. Nazywało się to po austrjacku moskalofilstwem, politycznie podejrzanem. Potocki był człowiekiem uczciwym i zachodziła obawa, że dojdzie z Rusinami do porozumienia. Wtedy podesłano Siczyńskiego, który Potockiego zamordował (1908). Dopiero następca jego, Michał Bobrzyński, pokusił się o radykalne przeprowadzenie planów niemiecko-austrjackich co do Galicji wschodniej. Na to trzeba było obezwładnić demokrację narodową i tak rzecz urządzić, aby hasła narodowe, bez których—niestety—społeczeństwo polskie żyć nie może, trochę pomylić. O cóż chodzi, o niepodległość? Rzuci się hasło „niepodległości“ (w cudzysłowie), głosić je będą odtąd socjaliści, liberali, żydzi. To pewniejsze. Demokraci narodowi — to wrogowie niepodległości, moskalofile.

Jednocześnie z przygotowaniami umysłów do wojny, o której się mówiło już od r. 1909, wynikła konieczność rozwiązania parlamentu, a nowe wybory usunąć miały z widowni Demokrację narodową. Bobrzyński posłużył się w tej mierze zblokowaniem stronnictw w celu osaczenia i zniszczenia obozu narodowego. Opierali się temu zrazu ludowcy, pamiętni może tego, że ich pierwszego wodza Bojkę, nasz Popławski w r. 1900 wypromował na posła. Ale rząd zawczasu wysunął w tej grupie na czoło Stapińskiego i kupiwszy go za gotówkę, wcielił ludowców do bloku.

Wyniki wyborów, dokonanych pod presją rządową, otrąbiono jako zwycięstwo ładu nad „anarchją“. W nowym parlamencie demokracja narodowa miała już tylko 10 posłów, za to stańczycy 22. Oni też wzięli na siebie odpowiedzialność za politykę polską Austrji w czasie wojny.

Na czele Koła stanął wkrótce Biliński. On to w r. 1917 staczał boje z obezwładnionym, zdawało się, Głąbińskim. Do niego to wystosował Głąbiński w kwietniu tego roku słynny list, piętnujący dwuznaczność polityki Koła. Biliński częstował Polaków (w r. 1917!) częściowem usamodzielnienie Galicji w ustroju austro-węgierskim. Gdyby nie interwencja Franciszka Józefa, Głąbiński byłby aresztowany, Al. Skarbek uszedł za granicę.

Głąbiński przyjął rozgrywkę na gruncie moralnym i zwyciężył. Sprowokował sumienie polskie w większości Koła parlamentarnego i sejmowego, które w maju 1917 uchwaliły deklarację, domagającą się zjednoczenia ziem polskich. Był to wniosek Głąbińskiego. Gdyby Biliński miał jeszcze w sobie poczucie narodowe polskie, to podałby rękę swemu przeciwnikowi: *Galilee vicisti*. Chorobliwa pycha nie pozwoliła tego zrobić Bobrzyńskiemu, który do swych błędów nie przyznał się nawet w swoich „Dziejach“, teraz pisanych.

Głąbiński zaczynał sam w r. 1902, wstępując do parlamentu jako jedyny przedstawiciel obozu „wszechpolskiego“ i skończył sam, jednak nie padł pod gruzami polityki austrjackiej. Ogołocił się zawczasu sam z orderów i tytułów, nadanych mu przez Austrję i pozostał sobą na fali życia polskiego, która go wiernie niosła i wysoko w narodzie wyniosła.

Idea narodowa nie umiera, dopóki narodu. Służba u obcych jest terminowa.

Naród postępuje naprzód dzięki dziedzictwu tego dobrego, cośmy zdziałali przedtem, ale obciążony jest w swym pochodzie dziedzictwem zła. W szkole austrjackiej deprawacji nabyte nałogi przeniosły się wraz z żywłołem beznarodowym do odrodzonej Polski, jako choroba, którą leczyć trzeba cywilizacyjnie. Ogół polski z pobłażliwym (może nazbyt pobłażliwym) uśmiechem patrzy na „sanatorów“, pragnących leczyć Polskę według recepty austrjackiej: jednej rzeczy się strzec — idei narodowej i jej propagatorów.

Istotnie osobliwy to widok, gdy Polak przychodzi do Głąbińskiego i powiada mu: idź sobie, jesteś niepotrzebny. Skąd mu to przyszło do głowy? Niktby tego nie zrozumiał, gdyby nie takie przypomnienia historyczne, jak moje dzisiejsze.

ZYGMUNT WASILEWSKI

# GŁOSY

W SEZAMIE SKARBÓW DUSZY „SANACYJNEJ”, które przed zdumionemi oczami społeczeństwa rozsypał proces brzeski, warto podnieść klejnocik, jeden z licznych, ale jakże znakomicie odbijający cały blask, całą wspaniałość patosu etycznego legendy „pomajowej”. Oto zeznaje świadek ze strony oskarżycieli, dyrektor biura sejmowego, p. Wł. Dziadosz. Z początku prawi tonem górnym, kaznodziejskim, nie szczędzi morałów oskarżonym. Nagle pomiędzy świadkiem a obrońcami rozpoczyna się następujący djalog:

„— Czy pan miał sprawę o oszustwo?
Świadek stara się uniknąć odpowiedzi, przewodniczący zwraca mu uwagę, że jest obowiązany odpowiadać.
— Czy czasem Sąd Najwyższy nie zatwierdził w tej sprawie wyroku skazującego?
Świadek wahając się, zmieszany: Tak jest. Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok, ale przy wznowieniu rozprawy uwolniono mię od winy i kary.
— Skazano pana przed 1926 rokiem?
— Tak.
— A kiedy wznowiono proces?
— Znacznie później“.

Lekkomyślnie zrobili ludzie, którym zależy na „legendzie”, że wogóle doprowadzili do procesu brzeskiego, a w dodatku, dowód winy oskarżonych postanowili oprzeć na zeznaniach tego rodzaju świadków. Przecież takie epizody, jak powyżej przytoczony, nie zacierają się tak łatwo w pamięci. A jak paleontologowie na podstawie jednego żebra mogą niekiedy rekonstruować dokładnie kształty przedpotopowych bestyj, podobnie przyszli historycy ery „sanacyjnej“ z takiego jednego, skromnego fragmentu zeznania sądowego, niezawodnie będą umieli wyczytać wiele, bardzo wiele.

Z PUNKTU WIDZENIA PRZYSZŁEJ TRWAŁOŚCI „LEGENDY“ conajmniej nierozważną wydaje się też praktyka ustawicznego konfiskowania przez władze administracyjne organów prasy opozycyjnej. Nie ulega przecież wątpliwości, że autorzy skonfiskowanych artykułów, podobnie jak redakcje, przechowują niezniszczone rękopisy prac, uznanych za „niebezpieczne“, i że kiedyś, po szeregu lat, owe „*Damnata*“, starannie razem zebrane i wydrukowane, stanowić będą niezrównany wprost materjał historyczny, pozwalający zorjentować się co do istotnej treści i charakteru przeżywanej przez Polskę obecnie epoki „sanacji“. Wszak z niemałą słusznością możnaby powiedzieć: „Wyznaj mi, czego się obawiasz, a odpowiem ci, kim jesteś“. Pomijając nawet sprawy drobniejsze, kwestja tak dla przyszłego dziejopisa podstawowa, jak zagadnienie stosunku obozu „sanacyjnego“ do żydów, znajdzie w tem przyszłem wydawnictwie źródeł historycznych oświetlenie zaiste rewelacyjne.

Już dzisiaj posiadamy specjalne, kosztownie wydawane czasopisma, jak redagowana przez p. Leona Wasilewskiego „Niepodległość“, co za cel postawiły sobie udostępnianie szerszym kołom czytelniczym faktów i dokumentów z przeszłości, które w swoim czasie nie mogły były zostać z tych albo innych przyczyn ujawnione. Trudno przypuścić, aby to zainteresowanie czasami minionemi miało w przyszłości osłabnąć, albo też ograniczyć się wyłącznie do wspomnień z okresu niewoli, nie zajmując się zaś zgoła epoką późniejszą, historją odbudowanego Państwa. Byłby to doprawdy sposób myślenia zgoła nie „niepodległościowy“ i nie „państwowy“.

NIE MOŻNA MIEĆ WSZYSTKIEGO ODRAZU. Dobrodziejstwa metod sanacyjnych w polityce okupiliśmy wykreśleniem się z Europy. Jeszcze mechanicznie powtarzamy frazes, że zwycięstwo nasze nad bolszewikami w r. 1920 obroniło w Polsce cywilizację typu zachodnio-europejskiego. Jeszcze jak automaty szczycimy się tem przed zagranicą. Przypomnieliśmy o tem świeżo przez usta naszych wojskowych na zjeździe Fidac'u. Nie przestajemy popisywać się przed cudzoziemcami frazesem, tylko że w międzyczasie przestaliśmy być w pewnych dziedzinach cywilizacją typu zachodnio-europejskiego. Z tego trzeba sobie jasno zdawać sprawę, tę cenę zapłaciliśmy. Niewątpliwie, w rozumieniu sanatorów, zrobiliśmy doskonały interes.

NIEPODOBIEŃSTWO BYĆ JEDNOCZEŚNIE I „SANACJĄ“ I EUROPĄ. Niema się o to co obrażać, poprostu chodzi o logikę. Dziwnie wyglądają rekwizyty europejskości, doczepione do odezwań się „mężów stanu Polski dzisiejszej“. Najmniej realnie, niczem głos jakiegoś selenity zabrzmiało w liście wicemarszałka Cara to: „w i n t e r e s i e p r a w d y stwierdzam...” Czy powaga tego wezwania w ustach b. głównego komisarza wyborczego obniżyła w czemkolwiek (w przeświadczeniu opinji publicznej) wartość złożonych pod przysięgą zeznań b. prezesa Sądu Najwyższego, p. Mogilnickiego? Czy z dreszczem odczuli wszyscy, że oto względy osobiste i partyjne przestają istnieć dla sanacyjnego dostojnika, bo — w grę nakoniec wszedł, decydujący dlań, interes prawdy? Gdyby nie wezwał jej imienia, a napisał tylko—„ w związku z zeznaniami — uważam za stosowne oświadczyć“ — czy zabrzmiałoby to mniej uroczyście w uszach społeczeństwa, czy wówczas inne kryterja zastosowanoby w ocenie listu? Prawda, jako głęboka potrzeba życia człowieka indywidualnego, jest wytworem cywilizacji zachodnio-europejskiej. Nie sprzeczamy się przecież o to, że nasz *régime* „silnej władzy wykonawczej“ ani ze stylu, ani z istoty swej do cywilizacji tej nie należy. Dla Polski jest, zdaniem sanatorów, bezcenny. Czemuż jeszcze stroić go w rekwizyty obce? Skąd ten przymus? To „niemocarstwowe“, że najbardziej kłamliwe pismo, jakie Polska widziała, nosiło przecież antykwaryczny ten tytuł: „Głos Prawdy“.

JAK INSTYNKTOWNIE „SANACJA“ czuje się czemś poza Europą, bez związku z jej tradycją cywilizacyjną, widać dobrze z refleksyj o praworządności, wysnutych w „Gazecie Polskiej“ ostatniej niedzieli (str. 2). Praworządność?— zastanawia się publicysta - hasło przecież beztreściwe. „Doskonałą praworządność można sobie wyobrazić nawet w państwie ludożerców“. Niewątpliwie, i nietylko praworządność, lecz i energiczną pracę „państwowotwórczą“, i znakomity *régime* „silnej władzy wykonawczej“, i „bezpartyjny blok współpracy z rządem“, i nawet „młodzież państwową“ ... Hasło „praworządności“, jak i zawołanie „państwowe“, istotnie żadnej treści cywilizacyjnej nie wyrażają, jeżeli je wziąć w oderwaniu. Ale zu-

pełnie inaczej sprawa się przedstawia, jeżeli instynktownie myśli się kategorjami europejskiemi. Postulat „praworządności“ ma wtedy treść bogatą — i bardzo określoną.

BEZ AMBICJI EUROPEJSKIEJ jakże nędznie wyglądać musi także żądza „mocarstwowości“. Odrywając się od wielkiej wspólnoty cywilizacji europejskiej, „sanacja” może wprawdzie nie oglądać się na opinję o Polsce, krystalizującą się u narodów zachodnich. „Troskę o dobre „recenzje” zagraniczne pozostawiamy rycerzom takich czy innych obcych agentur“.

Dziwnie w tym samym n-rze „Gazety Polskiej“, z dn. 6.XII. wygląda portret lorda d'Abernona, autora pochlebnej recenzji o zwycięstwie polskiem z r. 1920. Można bowiem przyjąć postawę, że do rodziny narodów zachodnich nie należymy, to, co o nas się mówi, traktujemy z nieskończoną obojętnością, lub pogardą. Ale w takim razie nie możemy także aspirować do szacunku u obcych. A obudzenie u obcych poszanowania, to ważny składnik „mocarstwowości” w pojęciu zachodniem. Nasze — ma być o ten element uboższe.

Z OKAZJI ZBLIŻAJĄCEJ SIĘ GWIAZDKI ukazał się we wspomnianym numerze „Gazety Polskiej“ nagłówek polityczny: „Król się rodzi, Motz truchleje“. Pod tym smacznym tytułem czytamy: „P. dr. Bolesław Motz, senator R. P., profesor honorowy uniwersytetu wileńskiego, praktykujący stale w Paryżu, jako lekarz chorób dyskretnych..., pozatem, jego zdaniem, lekarz chorób... politycznych — wystosował do przewodniczącego kompletu sędziowskiego w procesie „Centrolewu” długi list o fantastycznej treści“. Przypuśćmy, gwoli argumentacji, że organ półurzędowy ma rację, zarzucając d-rowi Motzowi niekompetencję polityczną. Zauważmy, że nie odmawia mu kompetencji — lekarskiej. Przypuśćmy, że wszystko, co dr. Motz mówi o monarchji, jest fantastycznym wymysłem. Tem poważniej wysłuchać trzeba, jak ocenia zdanie p. Sławka, że „w Brześciu — sadyzmu nie było“. Wypowiadając się tej sprawie, medyk był tyle fachowcem, ile polityk Sławek — niekompetentny.

# GŁOSY DAWNYCH POETÓW CZYLI O NIEZMIENNOŚCI RZECZY ŚWIATA TEGO

NIC nowego pod słońcem. Istotnie. Posłuchajmy:

Cóż posłowie? Z owoców drzewa poznajemy.
W trzech częściach nie znam sejmu. Jak poznać, gdy
Czwarta, co będzie mało, dzieli się na części: [niemy?
Jedni dobrzy do rady, inni i do pięści.

Parę było niemych sejmów w dziejach Polski. Pierwszym był warszawski z r. 1717, z czasów Augusta II, zwanego Mocnym. Pod tym oto „mocnym“ władcą zakneblowano usta społeczeństwu, reprezentowanemu na sejmie, zwanym „niemym“. Wiemy z historyków, że czasy tego władcy, zwanego „mocnym“ i czasy sejmu, zwanego „niemym“, stanowiły okres początku upadku Polski.

Sejm rozbiorowy z r. 1773 również w bezsilnem milczeniu przyjmował hańbę kraju. Zakneblowano na nim usta opinji krajowej.

Oficjalną nazwę „niemego“ nosi ostatni sejm dawnej Rzeczpospolitej, odbyty w Grodnie w r. 1793.

Epoka Augusta II, pierwszy rozbiór Polski, trzeci rozbiór Polski. Epoki najfatalniejsze w dziejach Polski, epoki milczenia „niemego“ społeczeństwa na „niemych“ sejmach. Na rozkaz zgóry.

Czytaliśmy niedawno w gazetach o wystąpieniu z najliczniejszego dzisiaj klubu sejmowego jednego z wiecznie milczących na komendę posłów. Długo milczał, aż wreszcie wyszedł z klubu, już nie na komendę, mocno trzasnąwszy za sobą drzwiami. Trzask tych zamkniętych mocno drzwi rozszedł się głośno po kraju, drzwi od przybytku ludzi „niemych“, zdaje się, że i głuchych.

Zapomnijmy, że słowa przytoczone pisał poeta XVIII w. Mógłby je z powodzeniem napisać poeta współczesny.

Słuchajmy dalszych głosów poetyckich:

Jakżeż się rozmnożyły rozumy po świecie?
Ten projekta gryzmoli, ten morały plecie.
Czeka zdrowy rozsądek: zguba oczywista.
Co szuler—to polityk, co szalbierz—statysta.
Czy kogo Pan Bóg osłem czyli stworzył graczem,
Każdy pisze i gada. Któż będzie słuchaczem?

Tu mowa o czwartej wymienionej w pierwszym urywku części sejmowej, gryzmolącej projekty i plotącej morały dla niemych i za niemych kolegów swoich. Kto będzie ich słuchaczem? Wiemy dobrze: niemowy sejmowe, zawsze posłuszne, o ile kto z nich nie trzaśnie drzwiami.

Kto ciekaw bliższych powodów gorliwości gryzmołów i sanatorów sejmowych i pozasejmowych, łatwo się ich dopatrzy z następującej, niekoniecznie satyrycznej szarży:

...Czemu Jan dla dworu ma duszę tak wierną?
Ryx przyszedł mu wyrobić chorągiew pancerną
Czemu się Józef sadzi na wymowę tęgą?
Natchnął go Najjaśniejszy purpurową wstęgą.
Dlaczego Piotr z Onufrym czarne z białem żenią?
Kto ich uczył logiki? Kamera z pieczenią.

Chorągiew pancerna. Purpurowa wstęga. Pieczeń.

Minęły bezpowrotnie czasy chorągwi i namiestników pancernych: przyszły dzisiaj czasy szarych pułków, lecz błyszczących pułkowników. Zdaje się, że i purpurowe wstęgi też należą do przeszłości: rozmnożyły się natomiast niepomiernie medale („*febris mendalis*“ Nowaczyńskiego). Została z dawnych czasów ta swoja, swojska, wieczna i nieśmiertelna pieczeń wołowa czy cielęca, komenderująca po dawnemu z wyżyn kamery logiką głów poselskich czy nieposelskich.

Nic nowego pod słońcem.

Jedno uległo zmianie zasadniczej. Wymarła bezpotomnie świetna generacja poetów dawnych, rzucających w głębokie ciemności narodowego bytu głośne a bezkompromisowe, groźne a ostrzegawcze krzyki, nabrzmiałe pełną bólu troską o przyszłość narodową: wymarło prawie bezpotomnie pokolenie dawnych satyryków, którzy odnajdywali ukrytych w ciemnościach i zajadających pieczeń narodową Janów, Józefów, Piotrów i Onufrych i naświetlali ich ostrem światłem satyrycznego oburzenia.

Tych już niema.

A. W.

# NAUKA I LITERATURA

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

B. konsul R. P. w Tokjo, dr. Eugenjusz Banasiński jest autorem bardzo aktualnego studjum polityczno-ekonomicznego p. t. „Japonja — Mandżurja" (Wydawnictwo Instytutu Wschodniego. Nakładem Księg. Wyd. „Polska Zjednoczona" s. 180. Cena 8 zł.)

Pojawienie się tej książki dzisiaj, kiedy jesteśmy świadkami niesłychanie ważnych wydarzeń, odgrywających się na Dalekim Wschodzie, czyni zadość potrzebie chwili. W rozdziale pierwszym autor podaje ogólne wiadomości o Mandżurji, o jej położeniu geograficznem, obszarze, ludności, podziale administracyjnym i o jej stosunku do reszty państwa chińskiego. Następne trzy rozdziały traktują o posiadłościach i koncesjach japońskich w Mandżurji, o ich organizacji i stosunku do metropolji japońskiej oraz o prawno-politycznem stanowisku Japonji w Mandżurji Południowej i Mongolji Wewnętrznej. Specjalny rozdział poświęcony jest omówieniu organizacji Towarzystwa Kolei Południowo-Mandżurskiej, stanowiącej ośrodek stanu posiadania Japonji w Chinach i punkt wyjścia jej penetracji ekonomicznej i politycznej na terenie mandżurskim. Skreśliwszy w zasadniczych rysach objekty, wchodzące w grę polityczną największych mocarstw Dalekiego Wschodu, autor przechodzi do szczegółowego omówienia problemu mandżurskiego w jego perspektywie historycznej. Następny rozdział omawia formy współżycia Chin i Japonji na terenie Mandżurji Południowej. Główna uwaga autora zwraca się na problem komunikacyjny Mandżurji i na dążenia Japonji do zapewnienia jej kolejom i portom dotychczasowej roli dominującej oraz do kierowania rozbudową chińskiej sieci kolejowej. W ustępie końcowym autor podaje streszczenie wydarzeń doby ostatniej, doprowadzając ich przegląd do październikowej sesji Ligi Narodów oraz sformułowania przez Japonję pięciu podstawowych warunków, które winny się stać podstawą bezpośrednich rokowań chińsko-japońskich.

Studjum dr. Banasińskiego posiada trzy mapki, ułatwiające czytelnikowi orjentowanie się w terenie i warunkach strategiczno-geograficznych.

*

Niedostatecznie może zwracano na to uwagę, że zawiązkiem czy zaczątkiem polskiej powieści historycznej są „Herby rycerstwa polskiego" Bartosza Paprockiego. Dla autora tego historja Polski (Kadłubkowa) była tylko tłem, na którem mógł z całą swobodą umieszczać czysto osobiste wypadki zmyślonych osób — rzekomych protoplastów braci szlacheckiej. Jak te osoby, tak ich czyny bywały bądź świadomie zmyślone, bądź przejmowane a raczej „przefasonowane" z różnych źródeł. Jak tam było, tak było, dość że herbowe baśnie Paprockiego działały zapładniająco na wyobraźnię wielu poetów i powieściopisarzy polskich, nietylko w XVII w., ale w większym jeszcze stopniu w epoce romantycznej i poromantycznej; Kraszewski, Lenartowicz, Deotyma, Pol nie wahali się z całą świadomością czerpać z tego źródła. Głównie jednak sięgali w tę dziedzinę różni pisarze popularni, zapomniani już dzisiaj, jak Grajnert i Chociszewski. Zaczęta przez nich tradycja poszła dalej, dając w powieściach Przyborowskiego i Walerji Szalay („Nasze warownie i grody") piękne nieraz plony. Ostatniemi czasy zagłębił się w starą księgę Paprockiego p. Marjan Hełm-Pirgo i znalezione tam „Podanie o hełmie" rozwinął w całą powiastkę (wyd. Gebethner i Wolff). Bohaterem powiastki jest młody Zbyszko (imię to, jak inne, tu występujące — Zyndram, Maćko — jest jakby remiscencją Sienkiewiczowskich „Krzyżaków"), który dosłużył się wspomnianego herbu, ściąwszy podczas bitwy w r. 1111 głowę Prusaka „z syszakiem i rogami przyprawionemi". Autor wiąże z tym hełmem powstanie miasta Chełm na Podlasiu; wywód oczywiście fantastyczny, skoro Chełm (czy Chełmno) częste w całej Polsce, np. w Krakowskiem i na Pomorzu, oznacza nie „szyszak" lecz „wzgórze". (J. B.)

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W *„Saint-Saturnin" (Nouvelle Revue Française)* p. Jan Schlumberger odtworzył dramat rodzinny, wywołany chorobliwemi kaprysami ojca, który na stare lata postanawia nowe rozpocząć życie. William Colombe, mając lat 70, traci swą żonę, Elżbietę. Śmierć ta spowodowuje w nim zupełny przewrót: uważa bowiem, iż rozsądna i zrównoważona egzystencja, jaką dotąd prowadził, przeszkodziła mu zrealizować wielkie plany. Chce więc powetować sobie czas stracony. Wobec tego zamierza zajmować się nietylko sprawami społecznemi, ale i polityką, a na domiar złego zburzyć stary pałac Saint-Saturnin, by na jego miejsce wybudować nową siedzibę, bardziej odpowiadającą jego obecnym wymogom. Dwóch synów, Ludwik i Mikołaj Colombe, oraz córka Jourdaine śledzą z niepokojem postępy fantazji ich ojca, a to tem więcej, iż ulega on coraz gorszym wpływom swego nowego otoczenia, a mianowicie pewnego aferzysty i przez niego podstawionej guwernantki. Wobec tego jeden z synów, zajmujący się właśnie administrowaniem majątku, zostaje zupełnie usunięty od wszelkiej współpracy, ale ponieważ jest filozofem, więc łatwiej znosi swój los. Inaczej jest z Jourdaine, której mąż dyplomata musi prowadzić szeroki tryb życia. Największą jest boleść Ludwika Colombe, bo zostaje on dotknięty nietylko w miłości własnej, ale w swem uczuciu do ojca, którego czcił, a dzisiaj asystuje niemocny przy jego starczym upadku. W krytycznej jednak chwili, on to głównie przyczyni się do usunięcia przedewszystkiem otoczenia, które tak zgubny wpływ na ich ojca miało. Powoli też dzieci starają się odrobić zło i ocalić rodzinne mienie. Ludwik jednak jest tak wysoce przejęty upadkiem swego ojca, iż wymaga na swym bracie obietnicę, by w chwili, gdy dojdzie do 60 lat, przedkładał mu jego własny notatnik, w którym spisywał różne spostrzeżenia, jakie mu podsuwał stan jego ojca, chcąc w ten sposób zapobiec podobnym wybrykom. Cała ta powieść, bardzo solidnie skonstruowana, jest właściwie dramatem rodzinnym, zakrojonym na modłę Balzac'a, może nieco przewlekłym, ale niezmiernie bogatym, zarówno pod względem obserwacyj psychologicznych jak i opisów, harmonizujących z danemi nastrojami duchowemi. (I. B.)

*

Jean jest bogatym przemysłowcem, który dorobił się majątku, dzięki plantacjom w Borneo. Przed powrotem do Europy, pewien Anglik prosi go, by zajął się córką, jaką miał we Francji. Zowie się ona Claire. Takiż jest i tytuł powieści p. Jacques Chadourne. Claire, to dziecko naturalne, które nigdy swego ojca nie znało; matka poza tem wpoiła weń niezbyt czułe względem niego uczucia. Claire żyje sama w okolicy Fontainebleau, nienawidząc ludzi i świat. Ale zjawia się Jean. Claire pod wpływem jego serdeczności, a jest to dominujące uczucie tej książki, zmienia się, a wreszcie oddaje mu się. Ewolucję duchową Claire, jakoteż i całą psychologję męską Jana, oddaje autor w sposób niezmiernie subtelny, podkreślając wielkość egzaltacyj duchowych, szczęścia, jakie jedna istota może dać drugiej. Temat ten poruszył już był poprzednio p. Chadourne w książce *„Eva"*; dzisiaj rozszerzył go w *„Claire" (Stock édit.)*, przeciwstawiając jeszcze tej ostatniej inną postać kobiecą, a mianowicie Lorne, będącą wspomnieniem, łączącem go z całą jego młodością. Lorne z rezygnacją przyjęła swój los; Claire posiada również w danej chwili dużo odwagi życiowej; nie doczeka się ona nawet upragnionego dziecka, gdyż przedwcześnie umiera. Książkę tę tylko na pół za powieść uważać można; jest ona natomiast ogromnie bogatą w psychologiczne obserwacje, dotyczące uczuć wyższego pokroju, a nie jedynie brutalnego instynktu, jaki tak często przybiera tylko pozory miłości. Studjum p. Chadourne jest właściwem studjum moralisty, o niezmiernie delikatnych uczuciowych odcieniach reakcyj duszy ludzkiej (I. B.).

# ZE ŚWIATA SZTUKI

PISZĄC wstęp do spisu dzieł Jana Golusa — z powodu jego wystawy w „Ładzie" — p. L. Kintop użył słowa, rzadko dziś w sprawozdaniach plastycznych spotykanego, słowa, które tłumaczy wiele. Czytamy tam mianowicie: „...talentów i charakterów". Otóż to — charakterów. Brak ich odczuwa się dziś bardziej dotkliwie, niż talentów. Kiedyś pisałem: nie wystarczy mieć talent, trzeba jeszcze umieć nim gospodarować. I do tego potrzebny jest charakter. On to właśnie, złożone w nas, jak w szkatule, dobro talentu potrafi ustrzec od zmarnowania nieopatrznie, roztrwonienia lekkomyślnego, zaprzepaszczenia w walce z życiowemi przeciwnościami. On, co ważniejsze, otrzymany dar pomnaża wielokrotnie, przy pomocy woli, nieustannego wysiłku i czujnej kontroli własnych poczynań.

Czy te właściwości talentu posiada artysta o którym chcemy mówić, Jan Golus? Ponieważ je.

go twórczość nie jest jeszcze tak znana szerszej publiczności, jak na to naprawdę zasługuje, nie zawadzi parę słów informacji, a czytelnik sam na ich podstawie wyrobi sobie zdanie. Jan Golus ukończył dawną warszawską szkołę sztuk pięknych i uczęszczał kilka lat do obecnej. Nigdy nie rezygnował ze swych aspiracyj. Nie uznawał kompromisów. A mogłyby go do tego zmusić warunki życiowe: żmudna praca biurowa, codziennie do 4-tej popołudniu (zwykły śmiertelnik ma potem akurat jeszcze tyle energji, aby przeczytać kurjerka). Pracował wieczorami i po nocach i tak powstał szereg dekoracyj teatralnych, najpiękniejszych w Polsce; rewelacje, według opinji fachowców. Były to inscenizacje sztuk, granych w teatrze na Powiślu, między innemi widzimy tam oprawę sceniczną do „Powsinogów" Zegadłowicza. Wysiłek artysty, oglądany przez wielu, ocenił profesor Jastrzębowski, ówczesny dyrektor Departamentu Sztuki. Jego zasługą jest pomoc udzielona artyście i umożliwienie dalszych studjów. Golus wyjeżdża do Francji, zwiedza poza Paryżem, Amiens, Chartres, Fécamp, Toulon, po powrocie przebywa czas jakiś na Wołyniu. Plon całej wycieczki oglądamy obecnie w sali wystawowej „Ładu" (hotel Europejski).

Z Francji przeważają widoki architektury. Nie, źle się wyraziłem, prace, których tematem jest architektura. Przenika je duch pewnej dekoracyjności, to dzieła dekoratora teatralnego, ale niema tu nic z tożsamości rozwiązań formalnych. Pozatem mają one i dekoracyjność zewnętrzną. Nie tą, która posiada płaskie malowidło ścienne, lub dekoracja jakiejś płaszczyzny o zorganizowanej w matematyczne rytmy dyscyplinie kształtów, o jasno ograniczonych konturach plam barwnych. Nie, malarz pozostaje w dziedzinie farby olejnej, nakładając ją na płótno, podkreśla mastkość jej mazi. Tem nie mniej jego obrazy, o dużych masach kształtów, o jasno określonem, często silnem, zestawieniu barwnem, grają zdaleka, jak gra zawieszony na ścianie kobierzec lub tkanina i tak swą plamą dekorują płaszczyznę muru. W technice czciciele jej odnajdą jakby przeskakiwanie szczegółów, co łatwo może być nazwane powierzchownością, ma jednak pobudki głębsze. Oto artysta ma już wizję konkretną: prędzej, prędzej więc, zamazać płótno, przebiec płaszczyznę pędzlem, postawić kształt, barwę, walor, aby wyrzucić z siebie to wszystko! Praca skończona, wszystko zostało powiedziane, teraz oglądamy płótno, aby zobaczyć jakiemi to zostało uskutecznione środkami. Malarz, na mocy swego doświadczenia, używał ich świadomie, ale nie myślał o nich. Tak samo okręt, płynąc rozpruwa fale, ale nie dlatego przecież płynie, aby to robić.

Pozostaje nam jeszcze omówić jedno: stosunek artysty do rzeczywistości. Wiadomo, iż ta jest podnietą, plastyk stara się ją odtworzyć (nie skopjować), lub przetworzyć. Może zajść przy tem aż w dziedzinę irrealizmu. Obrazy Golusa często niewiele mają wspólnego z modelem, na podstawie którego zostały wykonane. Jest tak, chociaż artysta nie zrywa zasadniczo z naturą. Coś w niej stało się dla G. objawieniem, jakiś kształt, lub barwa (częściej) i moment ten i zjawisko, użyte jako odskocznia posłużyły do zapoczątkowania pracy nad kompozycją obrazu. Niejedne z tych „Chartres", „Amiens" wykonał G. już w Warszawie. Protokuł policyjny przeciwstawia się relacji artystycznej. Ale to nie jest nawet protokuł artystyczny. Może te fragmenty w naturze nie posiadają nic z tego, co na obrazach. I dlatego wydają się nam takie prawdziwe.

*

Pani Marja Berezowska pokazała nam u Garlińskiego okruchy swego bujnego talentu. Posiadając wielki atut — pierwszorzędny temperament artystyczny, Berezowska wymienia go na drobne, nie dla tego jedynie, iż robi drobne obrazki. Największe zainteresowanie publiczności budzą na wystawie ilustracje do „Dekamerona", nie zawsze litylko ze względów artystycznych. Trzeba przyznać, że pani Berezowska z wielką swobodą traktuje temat i — znowu musimy powiedzieć — nie zawsze artystyczną. Z ilustracyj, na nierównym poziomie, najlepsze są: „Z lotu ptaka", b. ładnie skomponowane, o pewnym sentymencie i „Kłopoty braciszka" — przez smaczne podkreślenie niektórych drobiazgów. Portret Szymanowskiego, zwłaszcza oczy, dowodzą, co może artystka, gdy... zechce. Wszystkie prace, nawet kolorowe, noszą charakter wybitnie graficzny, a wewnętrznie cechuje je pewna drapieżna i nerwowa ostrość.

*

P. Cykowski przebywał dłuższy czas w Paryżu. To też znaczna część prac, wystawionych obecnie; została wykonana we Francji lub francuskiej Afryce. Pozostałe — w kraju. Wszystko pochodzi z okresu dziesięcioletniego. P. Cykowski niewiele ma do powiedzenia, trudno więc wiele o nim mówić; to pewna jednak, iż kolorystą nie jest, jak chce tego p. Okołów-Podhorska (z „Expr. Por."). Dlatego zapewne najlepiej wypadły prace stonowane, o kolorach złamanych, lub jednym kolorze zasadniczym. Do nich należy kilka studjów portretowych, uproszczonych już z pewną umiejętnością. WIKTOR PODOSKI

# TEATR

## „BALTAZAR" L. MARCHANDA

TEATR Narodowy pod dyrekcją Ludwika Solskiego po sztuce polskiej (Leczyckiego) wystawił na zmianę komedję francuską Marchanda „Baltazar". Pokazał przy tej sposobności nową grupę aktorów z p. Ćwiklińską, Węgrzynem, Kurnakowiczem na czele. Są tam znani już nam dobrze aktorzy: Janusz, Norski, Gawlikowski, Zejdowski, są i nowi, jak: p-na Żeliska lub Kubicki. Wszyscy byli na wyżynach zadania, może zbyt powolne tempo dali wesołej akcji. Niema w niej bowiem nic takiego, coby kazało słowu trochę dłużej w powietrzu się ważyć. Nie wiem dotąd, czego autor chciał dowieść, co pokazać. Bo że warjat udawał psychjatrę, to znowu nic osobliwego, nawet to, że przez chwilę mu wierzono. Są warjaci, udający monarchów, nawet półbogów i nieraz dobrze im się wiedzie.

To gorsze jednak, że p. Marchand nie pokazał nam, czem właściwie jest jego Baltazar. Wyszedł jakoś obronną ręką z komedji, ale pozostawił w nas podejrzenie, czy i on przypadkiem nie jest warjatem. Choć raczej wygląda na oszusta. Z przyjemnością posłuchałbym aktu czwartego, żeby się o tem dowiedzić. Ale było tylko trzy.

A tak przyjemnie patrzeć na Kurnakowicza, p. Ćwiklińską i Węgrzyna. O pani Żeliskiej nie wyrobiłem sobie zdania, czy warta byłaby czwartego aktu. Autor tę postać zdeklasował; nie miała amanta. Teraz panienki nie są w modzie, a p. Marchand, tak mi się widzi, liczył, że daleko skuteczniej rozmarzyć można publiczność pokazaniem miljardera. Pieniędzy wbród, kupuje sobie wyspy, pałace, rozbić limuzynę—to dla niego chleb z masłem. Tylko sobie gwizdże. To są dzisiejsze prymadonny. Choćby tylko popatrzeć na takiego. W dodatku: Węgrzyn. Z. W.

# OFENSYWA

## ZDRADZONY WERTHER

W MOWIE świadka Andrzeja Struga podczas procesu brzeskiego ważny był ustęp następujący:

— Mógłbym opowiedzieć tu w tej sali wielkie sensacje, bo wiele wiem. Ci, co dzisiaj rządzą, to moi eksprzyjaciele. Przyjacielem moim był też p. Piłsudski. Fatalizm pociąga tego człowieka w mrok, a wraz z nim i państwo polskie. Ale nie usłyszy nic z tych rzeczy odemnie ani sąd, ani publiczność.

To niedobrze. To bardzo niedobrze. Kto wiele wie, ten wszystko powiedzieć powinien. I sąd, i publiczność, i społeczeństwo, i cały naród, a potem cała cywilizowana ludzkość i inteligencja świata powinny usłyszeć całą prawdę, nie pół prawdy, nie ćwierć prawdy. Co pisze i jak pisze Romain Rolland? Ile cierpią za stuprocentową prawdę pisarze wielkich państwowo i wielkich moralnie narodów? Jak się wie, to się mówi, nie chowa reszty prawd pod korcem.

Przypomnijmy naprzykład, jak pisał do Prezydenta jeszcze 1 września 1927 roku, w liście drukowanym w pismach, prof. M. Zdziechowski?

„Żywo bowiem biorąc do serca sprawę generałów Rozwadowskiego i Zagórskiego, temsamem byłem w kolizji z naszym Rządem. Czy mogłem jednak przypuścić możliwość tajemniczego zniknięcia mego przyjaciela, gen. Zagórskiego wśród okoliczności nasuwających, powiedziałbym nawet, narzucających podejrzenie straszne, które rzuca piętno hańby na Naród nasz i wykreśliłoby Polskę, gdyby się okazało prawdziwem, z grona państw cywilizowanych".

Od tego czasu upłynęły cztery lata: 1928, 1929, 1930 i kończy się 1931. Co przez ten czas? Przeciw nam cała opinja elity moralnej i intelektualnej świata. Takiego mocarstwa nie boi się ani Łotwa, ani Litwa, ani Gdańsk. Postponują i bagatelizują?

Andrzejowi Strugowi przypadła rola protestu w imieniu świata ludzi piszących, w imieniu elity intelektualnej. Mówił pięknie i czysto, ale anemicznie i niewiele. Powinna mowa była trwać trzy godziny. Rozpalonem żelazem...

A tu melancholja, Wełtszmerc, smętek zawodu i rozczarowania. Tacy byli biali, jak anioły, a tak poczernieli na szatanów, tacy byli skrzydlaci i promienni, a tacy są teraz plugawi i pełzający. I żal za to, że nie poszli na lewo, że była „rewolucja bez konsekwencji"...

I dużo w tej mowie Struga „poezji", i dużo naiwności, i dużo nie orjentowania się ni w dawnej ni w dzisiejszej Europie. I dużo literatury, i dużo sentymentu, sentymentalizmu. „Kochanka mnie zdradziła i poszła do Radziwiłła".

Sprawdzeniem siły potencjalnej i rozmachu historycznego zeznań powieściopisarza Struga jest rezonans w prasie *moral in Sanity*. Czortuluby redaktor Szakal poprzednio jak ukąszony przez tarantulę negr, ciskał się i krwawą pianę z pyska toczył na takich świadków, jak marszałek Trąmpczyński, jak prof. Rybarski, jak senator Korfanty, jak poseł Stroński, jak Motz... ten „urolog", Motz, po którego liście tak struchlała „sanacyjna" hałastra. I na innych oskarżonych i świadkach też zęby łamał Djabłubrat redaktor Szakal.

Panu Strugowi za te „niedopowiedzenia" za to „wiele wiem, ale nie powiem" zrewanżował się cacanie reweransowem milczeniem. Pary z pyska nie puścił obłędny oszczekiwacz najczcigodniejszych.

Do historji literatury i historji Polski mowa A. Struga nie przejdzie. Nic w tem nie było z..... Zoli ani „z tego co mnie boli". Po przeczytaniu jej nabrało się przekonania, że raczej przypadek rozstrzygnął o pójściu Sieroszewskiego „na prawo" a Struga „na lewo".

## KRAKAUERY

CZASEM się ludziska dziwią, skąd, z jakiej przyczyny krakowianin odróżnia krakowiaków od *krakauer*'ów i dla jakich racyj tych ostatnich gasi, tępi i skalpuje.

Od tego dnia rozprawy brzeskiej już się chyba nikt dziwił nie będzie. Przesunęła się galerja typów, kolekcja figurynek, nie tyle ze saskiej porcelany, ile z autentycznego błocka ulepionych. Tu już nie wiedziało się absolutnie, po czyjej stronie stać i siedzieć. Taka to niedokąpana moralnie korrupcja cała, że fetor i z prawej i z lewej. Jakże się przypomniała świetna powieść F. Sołłoguba: „Miałkie biesy". Nie żadne drańsiwo „na wielką skalę", ale małe, biedne robactwo, przykryte pokrywą. Jeszcze w ciasnym garnku piękny pałac Paca nie widział takich gości. A śmiałe to, a bezczelne, efronckie, pyskate, pewne siebie! Nie pozwalają sobie zaimponować ni warszawskim sędziom, ni warszawskim adwokatom, bo oni są reprezentantami starodawnej, przesławnej „*Krakauer Kultur*" (Espluwada, „Byzanc" i Grand-Hotel).

W tym nowym, dzisiejszym, ale andrusowskim Krakowie (*vagina Sanatorum et caraconum*) najgorszą obelgą jaką jeden drugiemu mówi jest: „ty dziadu". Opozycjonery będą odtąd mówili: Ty dziadoszu! Ale na to im nierządniki odparują: Ty Haeckerlu! I u jednych i drugich kilka cetnarów racji.

Bardzo śmierdziało w tych dniach w pałacu Paca, kiedy ci antagoniści zeznawali lub kiedy ich konfrontowano. Bo to i trudno było odróżnić, który z nich szpiegował którego i co z tego wynikało. Ten robak chciał mieć „zapewnioną starość", a tamtem robak dawał tamtemu informacje „o kokainie". Za to tamten denucjował mu swoich przyjaciół politycznych, ale znowu ten bywał u tych i przyjaźnił się z bratem i synem, żeby po kolacji potem pisać w domu referaty donosicielskie. Jeden szpiegował drugiego, a drugi tamtego i każdy z osobna psioczył na swoich i wypierał się. Codzienne Judasze. Parszywe Judasze. A potem w Sądzie jeszcze się ze sobą witają, siedzą przy sobie, gwarzą, ten „ma słabość do tamtego", a tamten do tego. Jeden chwali się, że pierwszy drukował prace literackie Kostka Biernackiego, a drugi znów i oszust i bohater. Jadą *sleeping*'iem, to przed spaniem sobie od świń wymyślają, a potem zasypiają z rewolwerami w łapach. Ten był wicewojewodą, tamten dyrektorem biura w prezydjum rady ministrów, a ten chce być sekretarzem prasowym w defensywie. Zarabiają „mierzawcy" wcale nie źle, ale ciągle się boją, żeby nie zostali... dziadoszami czy też marzą o tem, żeby zdradzić swoich i zostać na starość Dziadoszami.

Wydał trzy lata temu Romuald Minkiewicz broszurę o korupcji w P. P. S. wogóle. Dużo gnoju na powietrze wygarnął. Bandę Illinicza przypomniał... Ja-worowych Pączków w maśle zdemaskował. Potem znowu inni wywlekali brudy tych burdów i przekupywania tych bojków. Ale to jeszcze było znośne dla ludzi o mocnych nerwach. *Auri sacra fames*. Robactwo też żyć z czegoś musi...

Ale dopiero, gdy przyjechała na gościnne występy do Pałacu Paca ta trupa z Krakowa, dopiero się widziało spektakl... „Krowoderskich Zuchów.." Sąd, publiczność, adwokaci, oskarżeni, świadkowie, wszystko cofnęło się na bok, żeby mieć dystans od jednych i drugich. Nosy zatykali wszyscy.

Jeden stary poczciwy „warszawista", cokolwiek endecący, no więc poprostu targowiczanin, wychodząc tego dnia z sądu scharakteryzował to jednym starym carosławnym terminem „ot, swołocz".

Widocznie mu polskiego słowa zabrakło.

ADOLF NOWACZYŃSKI

# NA MARGINESIE

Pan Romain Rolland, literat francuski, zaczepiony przez „Gazetę Polską" z powodu protestu francuskich pisarzy w sprawie brzeskiej, wystosował krótki list do tej gazety, w którym pisze: „Nie mogę znieść widoku tej Polski (Krasińskiego), rzuconej pod nogi i hańbionej przez Polskę dzisiejszą"... A na to odpowiedział długim listem redaktor Miedziński: „Gdy przeciwnicy są zwyciężani, czyż koniecznie wynika z tego, że mają rację? Czy doprawdy nie robi pan błędu, Mistrzu, tak łatwo ferując na nas wyrok potępienia tylko dlatego, że jesteśmy zwyciężcami?"

Ach, panie Miedziński, jaki tam Waszeć zwycięzca! Jeszcze sprawa w Najwyższej Izbie Kontroli.

*

Któżby pomyślał, że wracają czasy wesołej, melodyjnej operetki, w której ofiarą humoru i satyry padały niegdyś groteskowe stosunki państewek bałkańskich! Żartobliwy Paryż literacki za najświeższą aktualność poczytuje pomysł libretta, podjęty gdzieś w sferach „*Action Française*". Motyw jest taki: udręczona kryzysem Europa postanowiła się zabawić kosztem Polski. W jednym z krajów bałkańskich krewniak królewski (tenor) nad morzem Czarnem (plaże, balet kąpielowy) zaznajomił się z piękną Polką (mezzo-sopran), której ojciec zajmował w jej kraju wysokie stanowisko. Akcja przenosi się do Polski, wśród przekomicznych intryg (bas-buffo, taniec junaków z tomahawkami), którym niebrak molierowskich motywów. Pomysłowa reżyserja roztacza reviettę stosunków miejscowych. W tytule przysłowie polskie „Przez imaginację poszedł na koronację".

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.